Nr. 9 (1053). Warszawa, dnia 17 Lutego (2 Marca) 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 4 do 6 po południu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Od Administracyi.

Abonentom obecnie przybywającym n-ry 3, 4 i 5 „Prawdy“ będą przysłane później.

Do nabycia w Administracyi Prawdy książka prof. Jerzego Jellinka

Prawo mniejszości,

przekład S. Posnera, z przedmową A. Świętochowskiego.

Cena 20 kop. z przesyłką 30 kop.

Nakładem „Prawdy“ wyjdzie niebawem najnowsza praca znakomitego uczonego włoskiego, Achillesa Loria, p. t.: ***Co to jest socyologia?***

POLITYKA.

WIEŻA BABEL CZY VOLAPUK?

Posiedzenie Rady państwa z d. 20 z. m. jest prawdziwie znamiennem; nie z tego przecież powodu, że Izba po raz już może dwudziesty od czasów Badeniego zamieniła się w karczmę, ale dlatego, że pojedawcze rozporządzenie jej prezesa w materyi językowej nie podobało się żadnemu stronnictwu, ani Niemcom, ani Słowianom, ani Włochom itd. Rozporządzenie polega na tem, że p. Vetter von der Lilie uznaje prawa każdego posła mówiącego językiem innym, a nie niemieckim, do wnoszenia w nim interpelacyi. To dobrze; zapewne, ale jest zaraz dodatek, że z innojęzycznych zapytań i wniosków czyniony będzie bezzwłocznie autentyczny przekład niemiecki — i ten do protokółu posiedzenia wejdzie, oryginały zaś innojęzyczne tylko jako załączniki miejsce *przy* protokóle, nie *w* protokóle znajdą. Niemcom nie podoba się i mowa dla nich obca i owe anneksy; nie-Niemcy znowu krzyczą, głośniej lub ciszej, na wyzucie języków ich rodzimych z praw przyznanych językowi niemieckiemu. Urządzenie prezydyalne jest oczywiście tymczasowem, ale ta tymczasowość nie zdejmuje z niego ciężaru nienawiści narodowych. Gdyby nie zwada karczemna na pięści, byłaby już 20 z. m. bitwa zacięta na rozumy.

Austrya obudza tyle nienawiści nietylko we własnych ludach, nietylko w mocarstwach i społeczeństwach, ale nawet i w stronnictwach ogólno europejskich, że potrzeba ją sobie umyślnie zasłonić, aby nad owem tymczasowem urządzeniem w austryackiej Izbie poselskiej w d. 20 z. m. trzeźwo się zastanowić. Co miał uczynić Vetter, co lepszego wymyślić mogą jego krytycy, dopóki regulamin nie pozwoli im dowieść wyższości własnego rozumu nad prezydyalny? Uszanował prawo indywiduów i indywidualizmów zawodowych, pozwolił każdemu mówić jak chce; ale do protokółu Izby nie chciał wprowadzać wszystkich języków panujących w Austryi. Przyjmując do tekstu brzmienie indywidualnie-narodowe samej interpelacyi, musiałby przyjąć i takież brzmienie pojedynczych przemówień podczas rozpraw nad nią. Za tem poszłoby i wygłaszanie mów we wszelkich możliwych językach i zapełnianie niemi protokółu, o ileby krzyki nierozumiejących pozwoliły stenografom prezydyalnym cokolwiek dosłyszeć i od wrzasków, zwad i bójek utrzymać jeszcze w palcach narzędzie nieśmiertelności, darzącej słowo żywe literą, która już na wieki zostanie. Nie chodzi tu już o treść samą, o porozumienie się jakim takim rozumem i mową obdarzonych istot; idzie tylko o stronę czysto formalną: czy podobna prowadzić protokół wielojęzyczny, nie budując trywialnej wieży Babel?

Typem państwa, utajonym w monarchii austryackiej, w jej Przedlitawii, jest federacya. Daleko silniej niż dyplomy październików i konstytucye lutowskie wynurza go z siebie sama rzeczywistość współistnienia w formach konstytucyjnych, jako wymaganie i nakaz absolutny. Siłom odśrodkowym, które od lat pięciu widzimy przy pracy, wolno ten nakaz lekceważyć, ale żadne wrzaski i ryki go nie zgłuszą. Federacya wymaga dla siebie nietylko mechanicznej, ale i organicznej dośrodkowości; przy organicznej tylko możliwy jest jej rozwój, bez takiej wojny domowej, jaka obrała sobie teraz za widownię Izbę deputowanych. O rozwoju Austryi nikt mówić nie będzie, kto się ośmieszyć nie chce; ale o jej istnieniu dalszem myśleć powinni ci, którzy składają się na jej życie czy udawanie życia. Dla tych, jeśli zechcą tylko pomyśleć o niezbędnych warunkach istnienia państwa federacyjnego, jasnem będzie, że naczelny organ federacyi, wszystkim wspólny, musi mieć też i wspólny wszystkim język: bez takiej jedności mowy niepodobna marzyć o jedności budowy. Jedno z dwojga: albo każdy będzie władał wszystkimi językami, albo wszyscy umieć będą jeden przez wszystkich przyjęty. Jeżeli język niemiecki, który już jest, złym jest, obrażającym, nieznośnym, trzeba go wygnać, a jeśli się nie da wprowadzić na jego miejsce żadnego innego z pomiędzy należących do federacyi, potrzeba przyjąć jeden z volapüków, przeszłych, teraźniejszych lub przyszłych. Gdyby się żaden odpowiedni nie znalazł, wypadnie wrócić do łaciny lub uczyć ludzi sanskrytu.

Dopóki każdy obywatel austryacki nie będzie płynnie mówił wszystkimi językami całej masy swych współobywateli, dopóty tylko jakiś volapük, lub esperanto, zdoła uchronić i Izbę austryacką i Austryę samą od trywialnej wieży Babel. Najłatwiej takim volapükem mógłby zostać język niemiecki. Przy rozpadaniu się federacyi — w tem rozrywaniu i rozszarpywaniu od środka, wyzywającem do rozebrania od krańców, jakiego dopuszczają się Niemcy austryaccy — mowa Hermanów i Tusneld wzbudza zrozumiałą odrazę. Ale kto chce być mężem stanu, patrzącym nietylko w siebie i w dziś, ale w ogół i w jutro, ten bez trudu zapomni o języku niemieckim jako mowie Niemców, narodu niemieckiego, i uzna w nim tylko historycznie przekazanego fonetycznego pośrednika pomiędzy umysłami różnych narodów, uważanemi wręcz tylko za aparaty woli

prawodawczej. Mąż stanu z pierwszeństwa wyrobionego już przez dzieje, przez użycie, nałóg, a może i zwyczaj na utrzymanie zasługujący, nie będzie kuł sprawy organicznej, konstytucyjnej; nie będzie i sam widział i innym wskazywał w tem prostem tylko narzędziu porozumienia się jakiejś straszliwej machiny kopiącej dół pod prawami każdej z osobna narodowości; nie będzie szerzył pożogi i spustoszenia tam, gdzie powinna kwitnąć czerstwość, siła i pomyślność. Takie przywiązanie do swej indywidualności narodowej, któreby prawa jej wrażliwości przemijającej wynosiło nad prawa samego życia, byłoby miłością nierozumną. Gdyby w tej drgającej dziś konwulsyjnie masie ksyły się jeszcze prądy dośrodkowości organicznej, rzetelnie federacyjnej, sprawa języka nie byłaby tak ważną, jak jest. Niemcy dali przykład — za Niemcami idą inni i pracują — *pour le roi de Prusse.*

WALKA O KONGREGACYE.

IV.

Trzy wielkie mowy, opowiedziane w artykułach poprzednich, rozpoczęły kampanię parlamentarną. To pierwsze tylko były żórawie, pierwsi stada wysłańcy, pierwsze forpoczty, które miały teren walki zbadać i rozpoznać, miejsce obozom wyznaczyć, oszańcować je i okopać. To była tylko wielkiego turnieju potężna uwertura. Wnet rozpoczęła się dyskusya nad poszczególnymi paragrafami nowego prawa: dyskusya nie „od ręki“ prowadzona, nie perląca się kryształowym w szalonym pośpiechu mknącego wodospadu strumieniem, jeno leniwie, zaledwie widocznie śród moczarów nierównem korytem posuwająca naprzód płytką swą a brudnawą falę. Ale i w tej atmosferze ciurów obozowych pojedynku padają od czasu do czasu wyrazy pełne barwy i dźwięku; krążą wiadomości pierwszorzędnej doniosłości i powagi; klują się zalążki przeobrażeń politycznych i społecznych. Oto np. pewien proboszcz zwrócił uwagę, że prawo o stowarzyszeniach dlatego nie ma racyi bytu, iż osłabia katolicyzm; zaś dziś to jest szkodliwem nietylko dla wyznaniowych, ale więcej jeszcze dla narodowych, politycznych względów; mianowicie w niektórych gminach francuskich szerzy się z zatrważającem powodzeniem protestantyzm. „*Rompons avec Rome*, zerwijmy z Rzymem!“ — oto hasło, które gromadzić ma coraz liczniejsze szeregi. Pierwsze jądra krystalizacyjne tego ruchu stworzyła słynna historya „djablicy Vaughan.“ Jak wiadomo, Leon Taxil pozwolił sobie na tragiczny żart, aby dowieść, na jak bezgraniczne głupstwo daje się wziąć duchowieństwo. A że brednlom przez niego objawionym zawierzył nietylko cały kler francuski, ale że znalazły one posłuch u progu czy po za progiem Watykanu, zdobywając wiarę kardynała generalnego wikaryusza, a nawet samego papieża, to nie przeszło darmo, nie czyniąc wrażenia na niektórych przedstawicielach duchowieństwa świeckiego we Francyi. Śród tych oto przedstawicieli inteligencyą i odwagą naczelne zdobył stanowisko ksiądz paryski, Abbé Charbonnel, który oświadczył, że nieszczęsna historya Miss Vaughan, dzięki której złośliwy niedowiarek zdołał poprzez całe długie dziesięciolecie stawiać kler pod pręgierzem śmiechu publicznego, podminowała autorytet hierarchii rzymskiej. „Od lat kilku — pisał on — przechodzi katolicyzm rzymski kryzys faryzeizmu, który doprowadzić musi do krwawych zawodów. Zjawiska cudowne, objawienia, proroctwa, nowe kulty i nowe ćwiczenia duchowne, przedziwne objawy życia wewnętrznego, spazmy napół mistyczne, napół zmysłowe — oto co zda się wypełniać najwięcej miejsca w życiu religijnem kościoła rzymskiego. Zaczynamy od wiary w Najświętszą Paniennkę z La Salette i z Lourdes, a kończymy na wierze w Dyanę Vaughan i w djabła Bitru.“ Charbonnel nie zatrzymał się na ogłoszeniu walki przeciwko wierze w złe duchy, ale odważył się uderzyć w dogmat: zwątpił o niepokalanem poczęciu, wystąpił przeciwko Syllabusowi, przeciwko nieomylności papieskiej, wreszcie przeciwstawił katolicyzmowi rzymsko-klerykalnemu dawny pierwotny katolicyzm. Ścigany, wystąpił z kościoła. Nie samopas wszakże; za nim porwali się do odlotu księża: Philippot, Plomion, Vidalot, Bourrier, Claveaux i inni. Procedura tych wystąpień sprowadzała się zazwyczaj do listu otwartego, z którym każdy zwracał się do biskupa, a który drukował w prasie miejscowej. Tak np. proboszcz Claveaux odezwał się do biskupa z Tours w następujące słowa: „Nie jestem więcej kapłanem, nie należę więcej do kościoła rzymskiego. Pozostaję jednak chrześcianinem, wyznawcą i uczniem Jezusa Chrystusa, w którym i nadal pana swego uznawać będę. Wszak nie chcesz Pan chyba, aby członek zwyczajny parafii, a tem mniej kapłan, działał wbrew sumieniu i uczył w dalszym ciągu, w czem prawdy więcej nie widzi! Wszak mam nakłaniać w kazaniach do bezwzględnego posłuszeństwa dla Rzymu! Kościół ten okazał się w dziejach świata, jako zgromadzenie mężów, którzy w imieniu Boga i Jezusa Chrystusa domagają się nieograniczonej władzy nad duszami, w rzeczywistości jednak nie zatrzymują się przed żadnym podstępem polityki i zawierają sojusze z wszelką siłą w danej chwili u steru znajdującą się, a to w tym celu, by zachować w rękach swoich cień przynajmniej władzy świeckiej nad ludźmi i rządami. Żali taki kościół ma jeszcze prawo nazywać siebie kościołem powszechnym, chrześciańskim i wskazywać na siebie, jako na zapowiedziane w Ewangelii Królestwo Boże, o którem umierający Zbawiciel powiedział: Moje Królestwo nie jest z tego świata!“ Taką jest mniej więcej treść wszystkich odezw księży francuskich, których liczbę określono świeżo na *tysiąc* głów. Jest to bezsprzecznie cyfra bardzo pokaźna. Od trzech lat wydają oni własne pismo: *Chretien Français* i zorganizowali specyalne stowarzyszenia, których zadaniem jest piecza nad księżmi pozbawionymi wskutek wystąpienia z kościoła źródeł utrzymania. Prasa francuska początkowo drwiła sobie z tych śmiałków, których w najlepszym razie odsyłała do domów zdrowia, w najgorszym—piętnowała, jako przez ambicyę prywatną pożeranych łowców mandatów politycznych. Dziś ponad tą prasą *klerykalną* przeszedł już cień złowrogi. „Nigdy jeszcze nie mieliśmy we Francyi tak silnego rozłamu w szeregach duchowieństwa“ (*Gazette de France*). „Nieszczęście jest większem, niż kiedykolwiek. To już nietylko wypadki sporadyczne, ale wyłaniają się i krystalizują pewne ogólne prądy, organizuje się jakiś powszechny ruch. Tu i owdzie w organizmie duchowieństwa tworzyć się zaczynają odrębne, niezawisłe organy...“ (*La Verite*).

Rzecz pewna, że ruch ten nie kończy się na samych tylko przedstawicielach duchowieństwa. Wszak każdy z nich jest źródłem większego lub mniejszego wpły-

---

1)

RUDYARD KIPLING.

GRABARZE.

(Z DRUGIEJ KSIĘGI PUSZCZY)

— *Uszanujcie wiek sędziwy!*

Taki rozlegał się okrzyk, wydawany głosem posępnym i ohydnym, na który dusza się wzdryga, głosem, przypominającym huk jakiejś pękającej miękiej masy, złożonym z mięszaniny trelów, skrzeków i szlochania.

— *Uszanujcie wiek sędziwy! O towarzysze rzeczni, uszanujcie wiek sędziwy!*

Na rozległych obszarach rzeki nie było widać nic, oprócz małej flotylli barek o kwadratowych wiosłach, obłożonych drzewem i naładowanych budulcem kamiennym, które tylko co pokazały się pod mostem drogi żelaznej, płynąc z biegiem wody. Niezgrabne rudle mocowały się z prądem, ażeby wyminąć ławicę piaszczystą, utworzoną przez wiry pod filarami mostu, a w chwili, gdy łodzie przepływały po trzy w jednym rzędzie, złowrogi głos zabrzmiał znowu:

— *O, bramini rzeczni, uszanujcie wiek sędziwy i zgrzybiały!*

Siedzący na tyle statku żeglarz odwrócił się, podniósł rękę, wymówił coś, co wcale nie wyglądało na błogosławieństwo, i trzeszczące barki popłynęły w dal mroczną. Szeroka rzeka indyjska, podobniejsza raczej do pasma niewielkich jezior, odbijała pośrodku na gładkiej jak szyba powierzchni piaskową czerwień nieba, bliżej zaś, wzdłuż niskich brzegów pstrzyła się żółtemi i ciemnopurpurowemi plamami. Tam, w czasie pory dżdżystej, tworzyły się małe zatoki, których wyschłe czasze wznosiły się obecnie wysoko nad powierzchnią wody. Na lewym brzegu, tuż pod mostem kolejowym, rozłożyła się wioska z mułu, cegły, słomy i drzewa, a główna jej ulica, przepełniona obecnie powracającem do zagród bydłem, zbiegała prostopadle ku wodzie, i kończyła się przerywanym wałem nieksztaltnych kopców kamiennych, po których ludzie, chcący się umyć, mogli, skacząc, dostać się do wody. Była to grobla wsi Mugger-Ghaut.

Noc zapadała szybko nad nizinnemi polami soczewicy, ryżu i bawełny, które co rok zalewała rzeka, nad sitowiem, okalającem zagięcia jej brzegu, nad przeplataną pastwiskami puszczą, poczynającą się za ciemnemi zaroślami trzciny. Papugi i wrony, śród skrzeków i wrzasków odbywały zwykły wodopój wieczorny i odlatywały na spoczynek w głąb lądu, mijając bandy lisów latających (wampirów), które już wyruszyły na wieczorną wyprawę. Całe chmary wodnego ptactwa, świszcząc i hukając, zapadały w kryjówki pomiędzy trzcinami. Były tam gęsi o baryłkowatych głowach i czarnych grzbietach, cyranki, kurki, kaczki, bąki i bekasy, a miejscami i czerwonaki.

Orszak zamykał wlokący się ociężale Żóraw-Adjutant, poruszający skrzydłami w taki sposób, jakby każdy ruch jego miał być już ostatnim.

— *Uszanujcie wiek sędziwy! O bramini rzeczni, uszanujcie wiek sędziwy!*

Adjutant zwrócił napół głowę, skręcił zlekka w stronę rozlegającego się głosu i opadł ciężko na piaszczystą ławicę poniżej mostu. Teraz można mu się było przypatrzyć i przekonać się, co to była za postać zbójecka. Wprawdzie z tyłu miał wygląd ze wszech miar wzbudzający szacunek, bo przy swoim prawie sześciostopowym wzroście przypominał poważną i łysą duchowną osobę, za to z przodu było całkiem inaczej. Na pajacowatej głowie i długiej szyi nie miał ani jednego piórka, a u podgarla zwieszał mu się obrzydliwy worek z gołej skóry — spiżarnia, służąca do przechowywania wszystkiego, cokolwiek jego dziób motykowaty ukraść zdołał. No-

wu, każdy jest jądrem krystalizacyjnem nowego tworu organizującego się. W departamentach Auvergne, Limousin, w Picardii ruch ten zwraca powszechną już uwagę świadomością działalności i liczebnością wyznawców. W departamencie Puyde-Dôme już przed dwoma laty dwie całe parafie przyjęły protestantyzm, tak samo uczyniła cała jedna miejscowość Madranges w dep. Corrèze. Biskup z Tulle wysyłał tam specyalnego misyonarza, który atoli nie zyskał posłuchu, powodzenia nie zdobył. Obecnie obowiązki kapłańskie w Correze pełni już pięciu pastorów. Dzienniki francuskie opowiadają, że nie mogą oni podołać pracy. Wzywają ich często na katedry odczytowe. Wykłady takie czy kazania odbywają się w ratuszu, w obecności rady miejskiej, a rezultatem ich często bywa — kościół ewangelicki. Tak było w Treignac, w Pradines, w Gourdon, w Chamberet, w Saint-Clement. W departamencie Correze w ostatnich miesiącach przyjęło protestantyzm szesnaście parafij i gmin, między któremi są parafie liczące po kilka tysięcy głów. Zwracają również uwagę na to, że ruch ten racyonalistyczny jedną stroną spoczywa na podłożu materyalnem. W związku ze zmianą obrządku znajdować się ma ruch w kierunku zakładania stowarzyszeń rolniczych, fabryk nawozów sztucznych, stowarzyszeń pomocy wzajemnej; organizują się w niebywałej dotychczas ilości odczyty z zakresu ekonomii społecznej, polityki społecznej itp. Wszystkie te organizacye mogą oczywiście w dużym stopniu przyczynić się do ugruntowania w danych miejscowościach doktryn protestanckich.

Ruch ten nie jest zresztą w ostatnich nawet latach nowym. W Austryi również od lat kilku wołają coraz głośniej „Los von Rom!" Tu pobudką do oderwania się były względy narodowe. Klerykalizm austryacki wiązał się ściśle z pierwiastkiem słowiańskim, tem samem przeciwstawił siebie — niemieckiemu i Niemców przeciwko sobie do protestu zniewolił. Chcąc „wyratować" zagrożoną jakoby narodowość swoją z tonącego korabiu ich potęgi, praw historycznych czy zdobytych, uzurpacyi i nadużyć, sądzą oni, że jedna z możliwości ratunku, jedna z dróg zbawczych prowadzi w promieniu wyzwolenia siebie z pod wpływu bezwzględnego Rzymu. Inaczej zupełnie we Francyi. Tu klerykalizm nadaje sobie cechy wybitnie nacyonalistyczne; on uzurpował dla siebie znamię prawdziwego, nie farbowanego patryotyzmu francuskiego, piętnując jednocześnie protestantów, żydów, wolnomyślnych i wolnomularzy, jako obce drażniące kliny w spoistym organizmie narodu, jako cudzoziemców, nieprzyjaciół i zdrajców.

Wypadki dni ostatnich otworzyły wielu Francuzom oczy. Spostrzegli, że owi żądni władzy i dóbr doczesnych kapłani i mnisi, osłaniający nietylko swoje czyny, ale i swoje zamiary szczelnym, zwartym parawanem obrządków zewnętrznych, niewiele mają wspólnego z religią i że tworzą oni raczej organizacyę, wielką korporacyę polityków, dążących do absolutnego opanowania człowieka dla swoich osobistych celów za pośrednictwem i przy pomocy religii. Zrozumieli, że owo, na sztandarach użytych z jadowitych i zdradzieckich języków obnoszone, *słowo* patryotyczne — jest kłamstwem z egoizmu i żarłoczności zrodzonem; że ów *giest* nacyonalistyczny, cechy rozpaczy oddawać mający, wypływa z nikczemnego rozmysłu, że nie serce mu ojcem, jeno teatralny reżyser. Zrozumieli też, czy powtórzyli sobie, że Rzym nie jest, być nie może wcale narodowym, a duch Rzymu wszelką zasadę zróżniczkowania narodowościowego z siebie wyrzuca, wyklucza, wyłącza, jako rozkładowy własnej spoistości i potęgi pierwiastek. Narody — to pionki tylko na szachownicy losów przesuwane ręką pewną gracza, mądrość dwu już tysiącoleci ogniskującego w sobie. „Naród" — to tylko znikomości i przemienności doczesnych wyraz i uosobienie. Z „mlecznych dróg," które wiodą ku wiekuistym, na niebiosach zawieszonym celom, ku władzy nad światem nietykalnej, niewzruszalnej, świętej—„narody" wydawać się mogą tylko grą cieniową promyków. Jeden pójdzie, drugi przyjdzie — obrazu całkowitego forma i kształt nie zmieni się bynajmniej. Żal się tedy zrobiło niektórym Francuzom tego pyłku, owego atomu, który narodu francuskiego, *ich* narodu drogie nosi imię. I w tej chwili narodził się Julian Apostata nowoczesny, apostata w sutannie.

Na tej samej drodze, w tej samej atmosferze, z tych samych rodziców— przyszło na świat prawo o stowarzyszeniach p. Waldeck-Rousseau, zawrzała walka o kongregacye francuskie.

Tydzień polityczny. W nowym gabinecie włoskim prezes Zanardelli ma trzech swoich zwolenników (łagodnie postępowych): Wollenberga, ministra finansów, Cocca-Orto i Picardiego. Z grupy Giolittiego — wyciągającej rękę na wszystkie strony — jego samego i Galimbertiego; z prawicy Prinettiego, min. spr. zagr., di Broglio i Giussego; dwóch ludzi od samej tylko roboty: gen. Ponza di S. Martino i admirała Morina: wywróci się ta lepianka lada chwila.

W parlamencie angielskim Redmond zażądał usunięcia z przysięgi królewskiej słów obelżywych dla katolicyzmu. Istotnie, gdy się ma poddanych katolików, nazywać katolicyzm papizmem, religią bałwochwalstwa i zabobonów— to rażąca nieprzyzwoitość.

Izba francuska czeka na wyzdrowienie Waldecka-Rousseau, aby wznowić rozprawy nad stowarzyszeniami. Ważnem jest przyjęcie wniosku Klotza, aby spadki nad trzy miliony ulegały opłatom postępowym.

W dyskusyi nad prawem o stowarzyszeniach odczytał b. minister Brisson pomiędzy wielu cennymi dokumentami skargę biskupów na kongregacyę sióstr „dobrego Pasterza," w której biskup z Nancy odzywa się, jak następuje: „Po pięciu, dziesięciu, dwudziestu, nawet trzydziestu latach pracy, dzięki której Siostry zbierają majątek tak kolosalny, że mogły w ostatnim czasie unieruchomić pół miliona fr. w budowlach po części zupełnie niepotrzebnych, dziewczęta nie otrzymują, o ile występują z klasztoru, ani pieniędzy, ani bielizny, albo o ile coś otrzymują — od czasu jak energicznie zacząłem się tego domagać — to tak niewielką sumę, że nie wiedzą, co z nią począć mają. Zwracam ponownie uwagę, że te zbrodnie (crimes) popełniane bywają we wszystkich domach „dobrego Pasterza," co staje się oczywistem wobec tego, że prowincyałka i generalna przeoryni broni i uzasadnia postępowania mniszek w Nancy." Z listów pisanych przez dziewczęta do biskupa — te właśnie listy wywołały interwencyę jego — staje się widocznem, że praca w klasztorach trwa do 14 godzin dziennie.

Wiedeńska Rada państwa jest znowu domem waryatów. D. 20 b. m. prezydentowi Vetterowi wymyślali radykaliści niemieccy, a raczej prusacy, od „łobuzów, łotrów, szpiegów." Czesi, pod wodzą Klofacza, zaskoczyli gród prezydyalny i po zbombardowaniu go kałamarzami, książkami itp., odparci przez barona Wasilkę, zwrócili się na Niemców. Oba narody wymyślały sobie jak w karczmie. Chodzi tu o interpelacye: Vetter nie pozwala odczytywać interpelacyj niemieckich, tamujących tylko obrady większości. Izba stanęła przed zagadnieniem: co lepsze: wieża Babel, czy volapück. D. 21 z. m. cesarz przyjmował prezydyum Izby z uchwalonemi

---

gi miał długie, żylaste i chude, ale spoglądał na nie z dumą, delikatnie poruszał niemi i wygładzał popielato - szare pióra swego ogona, poczem rzucił spojrzenie poza siebie i stanął w obronnej postawie.

Mały parszywy Szakal, poszczekujący z głodu na brzegu rzeki, nadstawił uszu, zadarł ogon i, brodząc po mieliźnie, zbliżał się do Adjutanta.

Był to najnędzniejszy okaz swego gatunku, bo choć i najlepszy z szakali nie wart wiele, ten był szczególnie odrażającym. Pół-żebrak, pół-rabuś, czyściciel śmietników wioskowych, to rozpaczliwie bojaźliwy, to wściekle bezczelny, zawsze głodny, wiecznie był pełen przebiegłości, która mu nigdy jeszcze na dobre nie wyszła.

— Uff, — zawołał, wydostawszy się z wody i wzdrygając się boleśnie. — Niech świerzb czerwony strawi wszystkie psy w tej wiosce. Mam trzykroć tyle ran, co pcheł na sobie, a to wszystko za to tylko, że sobie pozwoliłem zajrzeć — uważasz, zajrzeć jedynie — do starego trzewika w oborze. A przecież nie mogę żyć samem błotem.

Powiedziawszy to, podrapał się za lewem uchem.

— Słyszałem — odrzekł Adjutant głosem tępej piły, pociąganej po grubej desce — słyszałem, jakoby w tym właśnie trzewiku leżało szczenię, które tylko co na świat przyszło.

— Co innego jest słyszeć, a co innego wiedzieć na pewno — odparł Szakal, który nabrał pewnej znajomości przysłów, podsłuchując we wsi ludzi, rozmawiających wieczorem przy ognisku.

— Święta prawda. To też, chcąc się przekonać, zaopiekowałem się tem szczenięciem, podczas gdy psy były zajęte gdzieindziej.

— Oj, i jak jeszcze były zajęte! — stęknął Szakal. — Cóż robić, przez jakiś czas trzeba się będzie wyrzec zbierania okruchów we wsi. Więc naprawdę w tym trzewiku było ślepe szczenię?

— Ono jest już tutaj — rzekł Adjutant, zezem spoglądając z poza dzioba na swój napełniony worek. — Drobnostka to, ale i nią gardzić nie należy w tych czasach, kiedy się zdaje, że dobroczynność zniknęła ze świata.

— Niestety, świat jest dzisiaj z kamienia! — zajęczał Szakal. Wtem jego niespokojne oczy, śledzące najlżejsze poruszenia fali rzecznej, musiały czegoś dopatrzyć, gdyż śpiesznie mówić zaczął co następuje:

— Życie dla wszystkich dziś jest ciężkie i nie wątpię, że nawet nasz dzielny władca, Sława Grobli i Zachwyt Rzeki...

— Łgarz, pochlebca i szakal z jednego jaja się wylęgli, — wyrzekł sentencyonalnie Adjutant, nie zwracając się właściwie do nikogo, ponieważ sam wcale nieźle kłamać potrafił w razie potrzeby.

— O tak, Zachwyt Rzeki, — ciągnął Szakal podniesionym głosem,—nawet i on bez wątpienia jest tego zdania, że od chwili zbudowania mostu trudno u nas o dobrą strawę. Z drugiej strony jednak jest on — czegobym nigdy nie śmiał powiedzieć w jego szlachetnej obecności — tak rozumny i tak zacny, jakim ja, nieboże, nigdy nie byłem...

— Kiedy Szakal nazywa siebie karym, jakże musi być czarnym w istocie!—drwił dalej Adjutant, nie widząc, co się dzieje.

Tymczasem z tyłu za nimi dały się słyszeć słowa, wypowiedziane głosem, trzeszczącym głucho, jak statek, co nagle osiadł na mieliźnie:

— To też *jemu* nigdy nie brakuje pożywienia, a przeto...

Szakal pospiesznie odwrócił się i stanął jak stawać zawsze nakazuje przezorność— głową ku mówiącej istocie.

Był nią dwudziestoczterostopowy krokodyl, zakuty w pancerz, podobny do potrójnie nitowanej blachy od kotła, ponabijanej ćwiekami, powyginanej i zakończonej grzebieniastym czubem. Miał centkowane żółte zęby, zwieszające się nad po-

d. 14 z. m. wbrew Kołu galicyjskiemu, które chciało adresu, wyrazami wiernopoddaństwa. Schönerer wniósł interpelacyę przeciw duchowieństwu katolickiemu, która wywołała nietylko treścią, ale i formą swą — burzę.

Posłowie w Pekinie radzą nad tem, jak stracić zbrodniczych mandarynów: stryczkiem, nożem, mieczem czy rękoma? Rozwiązali wątpliwość w duchu ludzkości; pozwalają wieszać, uprawniają nawet samobójstwo. Edykt skazuje na śmierć Yin-gien'a i Czao-czu-czao, Czyhsiena, Hsu-czenga i innych. Tuan i Tsai-lan — na wygnanie. W Pekinie stanie zamek warowny, cytadela, aby broniła i groziła. Rosya zwróci Anglii drogę z Szan-hai-Kanu do Tientsinu. Zajęcie Mandżuryi, jak zapewniają ministrowie angielscy w parlamencie — jest jedynie tylko sposobem pożycia z Chinami. W Niuczuangu nic Anglikom nie grozi.

Waldersee przygotowuje wielką wyprawę w głąb Chin. Dwór ma wrócić do Pekinu. Wstrzymanie egzaminów burzy rządy chińskie w prowincyach Czyli i Szansi.

Do Transwaalu rząd angielski tej zimy wyprawił 30,000 koni, które padały już w drodze. Na Przylądku, skąd miała przyjść pomoc Boerom, do szeregów angielskich weszło 10,000 ludzi. Botha już ustaje. Schalk Burger zaleca zaniechanie walki. Anglia na wojnę wydaje tygodniowo 1,250,000 f. st. Dotychczas kosztuje ją przedsięwzięcie wojenne 81,500,000 f. st. W przeszłym tygodniu Dewet rozbity pod Pitretif. Ciężkie straty: 500 ludzi.

W Hiszpanii Don Karlos zrzeka się swych praw na rzecz syna, Don Jaime'go. Azcarraga podaje się do dymisyi. Zaburzenia ustały.

W Hawanie konstytuanta zgodziła się na warunki, na jakich urządzony być ma stosunek Kuby do St. Zjednoczonych: protektorat, wolność handlu i wyrzeczenie się własnej polityki.

W Atenach zamknięto sesyę parlamentu, która trwała od 30 października r. z. Z tego powodu wypowiada dziennik ateński, *Akropolis*, następujące gorzkie uwagi: „Dziejami Grecyi współczesnej nie rządzi ani wola, ani powaga korony, ale raczej partya arystokratów pieniądza. Izba przestała wydawać prawa, dobro ludu na celu mające. Zaś w promieniu jej pożądań znajdują się prywata i interesy specyalne bogaczy.“

W nader popularnym tygodniku angielskim, *The Sketch*, z d. 2 lutego, znajduje się artykuł, zatytułowany „Cesarz i Krüger,“ którego autor zapewnia, że podaje autentyczny dyalog Wilhelma II. Miał on mianowicie powiedzieć: „Gdyby *ten* Krüger odważył się był przyjechać do Berlina, to niewątpliwie zostałby przyjęty przez oddział mojej piechoty z bronią nabitą w ręku.“ Uwaga ta ma być w związku z ostrzeżeniem, jakie udzielone zostało Krügerowi przez ambasadora niemieckiego, aby nie ważył się przekraczać granicy niemieckiej. W sprawach Transwaalu ma być cesarz po stronie Anglii — z najgłębszego przekonania. Wreszcie miał się on wyrazić: „Anglia i ja, o ile zjednoczymy armię lądową i flotę, mamy pokój świata w ręku.“

ŻYCIE SPOŁECZNE.

HYGIENA MIAST.

Warszawskie Towarzystwo hygieniczne w ostatnich czasach zwróciło baczną uwagę na prowincyę, a między innemi na potrzebę uzdrowotnienia miast. W tym celu postanowiono opracować kwestyonaryusz, za którego pomocą mają być zebrane dokładne wiadomości o obecnych brakach i potrzebach miast prowincyonalnych w zakresie hygieny a następnie na podstawie tego materyału ma być opracowany cały program środków zaradczych. Oczywiście trudno wymagać, ażeby Towarzystwo hygieniczne wzięło na siebie to doniosłe i olbrzymie zadanie. Przekracza to bowiem jego siły i granice. Uzdrowotnienie miast wymaga współdziałania społeczeństwa tudzież najrozmaitszych organów i instytucyj. Towarzystwo hygieniczne może więc tylko dać materyał i wskazówki, przyśpieszyć pracę i wreszcie współdziałać w niej wraz z innymi. Sprawa ta jest pilna i nadzwyczaj ważna. Chociaż jeszcze nie opracowano kwestyonaryusza i nie zebrano potrzebnych danych, wiadomo jednak jest powszechnie, że zdrowotność miast prowincyonalnych znajduje się w opłakanym stanie, że dziesiątki, a nawet setki tysięcy ludności narażone są nietylko na niewygody i przykrości, ale nawet na niebezpieczeństwa. Dzisiaj śmiertelność w tych zbiorowiskach życia prowincyonalnego w porównaniu ze śmiertelnością miast zagranicznych jest tak olbrzymia, że poprostu dziwić się trzeba, jak dotychczas społeczeństwo nasze może spokojnie patrzyć na to zjawisko. Taki sam jest przerażający procent ludzi zapadających na choroby rozmaite.

Gdyby wszystkie straty, wynikające ze złych warunków hygienicznych, dały się ująć w jakieś pewne rubryki i cyfry, przyszlibyśmy do przeświadczenia, że zaniedbanie miast prowincyonalnych pod względem zdrowotnym jest bardzo ciężką klęską społeczną. U nas jednak pod względem zdrowia społecznego obojętność jest zadziwiającą i trzeba dopiero jakichś wstrząśnień, popłochu ogólnego, ażeby zmusić społeczeństwo jeżeli nie do środków zaradczych, to przynajmniej do bacznego rozglądania się w położeniu. Takie wstrząśnienie i popłoch wywołała przed kilku laty cholera. Dopiero wtedy zaczęliśmy sobie zdawać sprawę z położenia zdrowotnego miast i miasteczek; dopiero wtedy spostrzegliśmy całą grozę tych warunków, na jakie obojętnie patrzyliśmy przez dziesiątki lat. Dowiedzieliśmy się, że w większości miast i miasteczek woda prawie we wszystkich studniach nie jest zdatną do picia, pomimo, że ją tysiące ludzi piło, że studnie te czerpią wodę filtrowaną przez kloaki, śmietniki, gnojowiska, mokradła, i kałuże cuchnące. Prócz tego dowiedzieliśmy się, że ludność bardzo często czerpie wodę do picia z rzek, strug i stawów, zanieczyszczonych ściekami fabrycznymi lub... padliną. Dowiedzieliśmy się, że istnieją domy od kilkudziesięciu lat nieodnawiane, że ludzie mieszkają w norach, w których najwytrwalsze psy mogłyby pozdychać z braku powietrza czystego; że na podwórzach tych domów stoją kałuże cuchnące i leżą śmietniki przez cały rok okrągły nieoczyszczane; że kloaki przepełnione grożą wylewom i że ich zawartość niekiedy przesiąka przez ściany mieszkań ludzkich; że na placach publicznych gromadzą się wszelkie odpadki nieuprzątane od jarmarku do jarmarku; że miasta i miasteczka nie mają szpitalów, lecznic i ambulatoryów w odpowiedniej liczbie, że ludność pozostaje na łasce felczerów, odciągających całe rzesze chorych od lekarzy nielicznych; że są garkuchnie liche, w których ludność uboga zatruwa swoje zdrowie; że produkty spożywcze sprzedawane są w brudnych straganach i nie podlegają żadnej kontroli, że rzeźnie miejskie i małomiasteczkowe cieszą się szczególnymi przywilejami, które pozwalają rzeźnikom zabijać chore sztuki bydła i sprzedawać z nich mięso i t. d. i t. d.

---

karbowaną cudacznie dolną szczęką, a był to płaskonosy Mugger z Mugger-Ghaut, starszy od najstarszego z mieszkańców wsi, która od niego wzięła swoje miano, demon brodu przed zbudowaniem mostu kolejowego, morderca i pożeracz ludzi oraz fetysz miejscowy w jednej osobie. Leżał zanurzony do podbródka w mule i utrzymywał się na jednem miejscu ledwie dostrzegalnymi ruchami ogona. Lecz Szakal wiedział doskonale, że wystarczyłoby jednego machnięcia tego ogona po wodzie, aby wyrzucić Muggera na brzeg z szybkością lokomotywy.

— Co za pomyślne dla mnie spotkanie, o Dobrodzieju Nędzarzy! — mówił uniżenie czworonóg, cofając się za każdem słowem. — Usłyszawszy głos czarowny, przybyliśmy w nadziei rozkoszowania się miłą rozmową. Muszę się też przyznać, że w chwilach oczekiwania ośmieliłem się ze zwykłą zarozumiałością bez granic mówić o Tobie. Ale spodziewam się, że mnie nie słyszałeś..

Właściwie Szakal po to tylko mówił, żeby go usłyszano, wiedząc doskonale, że pochlebstwem najłatwiej zarobić na kęs strawy. Mugger zaś wiedział, że Szakal mówił w tym celu, Szakal znów wiedział, że Mugger wie o tem, a Mugger wiedział, że Szakal wie, iż on, Mugger się o tem dowiedział — i tym sposobem byli obaj zupełnie zadowoleni z siebie.

Stary potwór czołgał się ku brzegowi, sapiąc, postękując i mrucząc bezustanku: „Uszanujcie wiek sędziwy i zgrzybiały!“ Pękato jak baryła cielsko powłóczył na koszlawych nogach, a maleńkie oczy na wierzchu trójkątnego łba nie przestawały mu błyszczeć z pod rogowych powiek nakształt żarzących się węgli. Nagle zatrzymał się; Szakal, chociaż przyzwyczajony do jego podstępów, nie mógł po raz setny pohamować drżenia, gdy ujrzał, jak dokładnie Mugger naśladował kłodę drzewa, którą prąd przybił do brzegu. Nie zapomniał nawet o tem, ażeby przybrać kierunek, odpowiadający ściśle kątowi, jaki istotnie naniesiona przez fale kłoda tworzy zwykle względem koryta rzeki odpowiednio do siły prądu w danym czasie i miejscu. Wszystko to, naturalnie, było dziełem przyzwyczajenia, ponieważ Mugger wyszedł obecnie na ląd jedynie w celu rozrywki; ale krokodyl nie bywa nigdy sytym, to też gdyby Szakal dał się zwieść temu jego podobieństwu do kłody, zbrakłoby mu zapewne czasu na rozmyślanie.

— Nie słyszałem ani słowa, moje dziecię — rzekł Mugger, przymrużając jedno oko. — Miałem wodę w uszach, a przytem omdlewałem z głodu. Od czasu zbudowania mostu lud z mojej wioski przestał mnie kochać, a serce mi pęka z tego powodu.

— O, zgrozo! — wykrzyknął Szakal. — Takie szlachetne serce! Bo też wszyscy wogóle ludzie nie są nic warci, mojem zdaniem.

— O, nie, są pomiędzy nimi wielkie różnice — łagodnie odparł Mugger. — Jedni są chudzi, jak bosaki okrętowe, inni za to pulchni, jak młode szak... pieski. Nie pozwolę nigdy na to, żeby bez powodu szkalowano ludzi. Rozmaici są pomiędzy nimi, ale w ciągu długich lat mogłem się przekonać, że wszyscy, jeden w drugiego, są bardzo dobrzy. Mężczyźni, kobiety, dzieci — nikomu nic zarzucić nie mogę. I to zapamiętaj sobie, moje dziecko, że nie trzeba potępiać świata, ażeby nie zostać samemu przez świat potępionym.

— Pochlebstwo gorsze jest od pustego, cynowego dzbana w brzuchu. Lecz to, co usłyszeliśmy w tej chwili, tchnie czystą mądrością — wyrzekł Adjutant, opuszczając jedną nogę.

— Jakaż to okropna niewdzięczność z ich strony wobec tak godnej osoby... — zaczął Szakal z rozrzewnieniem.

Ale Mugger przerwał mu.

(C. d. n.).

Tłom. *J. Czekalski*.

Czy dokładne uświadomienie takich warunków, zagrażających zdrowiu i życiu ludzkiemu, wywołało jakie środki zaradcze? Na razie zaczęto niby coś robić, ale z chwilą gdy wygasła cholera, wygasła także energia na razie wzniecona w tych działaczach, którzy mieli uzdrowotnić nasze miasta i miasteczka.

I cóż się dzieje dzisiaj? Przedewszystkiem zobaczmy jak wyglądają w miastach, miasteczkach rzeźnie, zbadane i opisane przez d-ra Thórznickiego w osobnem dziełku („Pilne sprawy hygieniczne"). „Samo wspominanie wywołuje przykre uczucie. Wyobraźcie sobie stary, lichy budynek na czterech słupach nad brzegiem małego wiejskiego kanału lub ponad stawem. Stoi on, Bóg wie, jak dawno, dach więc obdarty, podłoga zgniła, a pod nią głęboki dół, wiecznie zapełniony masą zgnilizny. Tu zdaleka uderza woń krwi zgniłej. Inaczej być nie może. Do tego bowiem budynku przyprowadzają bydło na rzeź przeznaczone. Rzeźnik uderza wołu, czy krowę, obuchem między rogi, ogłusza i zarzyna; krwią oblewa się podłoga, tu zdejmują skórę i wyjmują wnętrzności. Krew, a zarazem zawartość kiszek i wszelkie odpadki przez szpary w podłodze ściekają do dołu, mięso zaś rozćwiertowane odnoszą do brudnej żydowskiej izby lub stodółki i tam rozprzedają. W dole, pod wpływem ciepła, krew i ekskrementa rozkładają się bardzo szybko i wydają woń straszną. Wkrótce lęgną się robaki w takiej ilości, że aż poruszają powierzchnię płynu. Lecz oto dół przepełniony: cóż tedy dzieje się? Przez wierzch przelewa się zawartość do stawu lub kanału i ścieka z biegiem wody, zanieczyszczając ją na znacznej przestrzeni, a ponieważ stawy i kanały takie są i bez tego zbiornikami wszelkiego rodzaju nieczystości, powiększa to więc tylko zawartość w wodzie gnijących części i ekskrementów".

Zwykle rzeźnie takie z konieczności są odsunięte nieco od mieszkań ludzkich, ale w małych miasteczkach i osadach są one urządzane śród domów mieszkalnych, szerzą zabójcze powietrze, a co najgorsza—są rozsadnikami tyfusu i innych chorób zakaźnych. Doły tych rzeźni *nigdy* nie są oczyszczane! To też, jak stwierdzili lekarze, epidemie rozpoczynają się najczęściej od domów, otaczających rzeźnie i stamtąd rozszerzają się po całem miasteczku.

Gdybyśmy się przyjrzeli uważnie szpitalom prowincyonalnym, przekonalibyśmy się, że i tam istnieją rozsadniki zarazków chorób, że i w tych zakładach Hygiena bywa bardzo rzadkim gościem.

Nie wiemy jeszcze, co kwestyonaryusz Towarzystwa hygienicznego postawi na pierwszym planie, ale uważamy, że naczelne miejsce w nim zająć powinny następujące rubryki: 1) Rzeźnie, 2) szpitale, 3) studnie, 4) kanalizacya, 5) stan rzeczek i stawów tudzież środki zapobiegające ich zanieczyszczaniu, 6) położenie fabryk szkodliwych dla zdrowia, 7) urządzenie domów i ich podwórza, 8) bruki i place, 9) sprzedaż produktów spożywczych, 10) środki na urządzenie pracowni mikroskopowych do badania mięsa tudzież stan dozoru weterynaryjnego, 11) garkuchnie, 12) kąpiele, 13) lokale szkolne, 14) warsztaty i warunki pracy fabrycznej i t. d. Na szczęście, w ostatnich czasach, niezależnie od inicyatywy i zabiegów Towarzystwa hygienicznego, daje się zauważyć pomyślny ruch przedsiębiorczy, ściśle związany z warunkami uzdrowotnienia miast prowincyonalnych. Przedewszystkiem tu i owdzie urządzają lub mają urządzać wodociągi miejskie i oświetlenie elektryczne; budują tramwaje, które dają możność ludności robotniczej trzymać się zdala od zagęszczonych i niezdrowych zabudowań miejskich. Wreszcie w główniejszych miastach przedsięwzięto urządzanie kanalizacyi wraz z wodociągami. Jest ona na dobie obecnie w Łodzi i Radomiu. Ze względu na ogromną doniosłość zdrowotną tych urządzeń, musimy poświęcić im słów kilka. W Łodzi przy udziale przedstawicieli miasta, inżenierów i budowniczych rządowych, gubernialnych i miejskich, tudzież inżeniera Lindleya - młodszego odbyły się narady, na których sprawę kanalizacyi bardzo szeroko rozwinięto. P. Lindley jest przeciwnikiem użytkowania wód rzecznych i utrzymuje, że nawet tak bystra rzeka, jak Wisła, zanieczyszczana stale przez kanalizacyę, wywrze bardzo ujemny wpływ na zdrowie przyszłych pokoleń. Tylko kanalizacya z zastosowaniem pól irygacyjnych lub krematoryum przy obecnych wymaganiach techniki, zdaniem tego specyalisty, może być racyonalną. Dla wodociągów wody rzeczne są niezbędne, w Łodzi jednak należałoby zbudować osiem studni artezyjskich. Przed tem atoli należy zbadać dokładnie topografię i hydrografię miasta i okolic; prócz tego, zgromadzone w jeden zbiornik ścieki łódzkie poddać analizie, ażeby osądzić, o ile zdolne one będą do wytwarzania nawozu. W tym celu trzeba urządzić biuro specyalne, którego koszty utrzymania wyniosą 1000 rb. miesięcznie. P. Lindley za swój głos doradczy w tej mierze żąda okrągłej sumy 3000 rb. Wnioski powyższe przyjęto i dzięki temu sprawa kanalizacyi i wodociągów w Łodzi wchodzi już na grunt praktyczny.

O wiele dalej prace w tym zakresie posunięto w Radomiu. Rozpatrzono tam dwa projekty kanalizacyi i wodociągów. Jak dalece są pilne i ważne dla zdrowia mieszkańców urządzenia tego rodzaju, świadczą dane statystyczne, zebrane przez wydział administracyjny rządu gubernialnego radomskiego o śmiertelności: r. 1875 na 10,000 ludności zmarło z chorób zakaźnych i innych skutkiem złych warunków zdrowotnych, 17 osób: 1880 na 10,000 ludności 45 osób, r. 1890 na tyleż ludności 88 osób, wreszcie r. 1895—139 osób. Jak widzimy, wzrost śmiertelności jest stały i znaczny. Trzeba jeszcze wziąć i to pod uwagę, że w ciągu ostatniego 25-lecia ludność Radomia wzrosła w dwójnasób, że powstało mnóstwo fabryk, że w miarę wzrostu miasta i rozwoju przemysłu wielkiego wzrósł napływ ubogiej ludności zarobkującej. To też kanalizacya przychodzi obecnie jako środek zbawienny. Sporządzono już plan regulacyjny, a następnie, w drodze ograniczonej konkurencyi, wezwano cztery firmy techniczne do złożenia kosztorysów na wodociągi i kanalizacyę. Przyjęto firmę A. Bronikowskiego i S-kę, (tę samą, która wykonała plany). Zrobiono zastrzeżenie, że kanalizacya ma usunąć nieczystości z miasta przedtem, nim zaczną się one rozkładać chemicznie i należy dokonać tego jaknajprędzej, ażeby nie zarażały powietrza. Woda powinna być dostarczana ze źródeł i wód odkrytych, najmniej 400 wiader na dobę. Badania tych wód ciągnęły się rok cały, nietylko w samem mieście, ale w promieniu 10 wiorst po za niem. Za najodpowiedniejszą uznano rzekę Pacynę o 8 wiorst od Radomia, która daje na dobę 10 razy więcej wody, niż żądał magistrat. Wodociągi kosztować mają 803,093 rb. 91 kop., kanalizacya 441,796 rb. 34 kop. Zdaje się jednak, że sprowadzanie wody z daleka będzie zbytecznem wobec tego, że stwierdzono możność wybicia odpowiednich ilości studzien artezyjskich, przy których koszt wodociągów wyniesie tylko 400,000 rb.

Dodać musimy, że Łódź i Radom pierwsze będą posiadały wzorowe rzeźnie miejskie. Dla potrzeb rzeźni radomskiej wybito studnię artezyjską (170 stóp), która daje znakomitą wodę.

Widzimy tedy, iż uzdrowotnienie tych dwu miast jest na dobrej drodze. Rozpoczęto od najważniejszych podstaw i chociaż po za kanalizacyą i rzeźniami pozostaje jeszcze bardzo wiele do zrobienia w innych dziedzinach gospodarki miejskiej, pierwsze atoli kroki są pomyślnym objawem i należy życzyć, ażeby inne miasta poszły za tym przykładem.

Należałoby jeszcze energicznie się wziąć do zarządzenia środków, zapobiegających zanieczyszczaniu rzek przez fabryki. Jak dalece jest to sprawa pilna, świadczy fakt następujący: Osiemnastu robotników fabryki „Warta" w Częstochowie półtora roku temu zmarło w ciągu jednego dnia. Przyczyną śmierci było picie wody rzecznej, zatrutej przez odpływy fabryczne, co następnie stwierdziła ekshumacya zwłok, dokonana na cmentarzu miejscowym przed paru tygodniami. Obecnie inspektorowie fabryczni wystąpili do zarządów cukrowni w Królestwie z żądaniem zaprowadzenia (na wzór cukrowni w gub. południowo-zachodnich) takich instalacyj ściekowych, ażeby zużyta woda, zanieczyszczona odpadkami, nie była spuszczana z fabryki do strumieni i rzek, lecz ażeby ją sprowadzano systemem irygacyjnym na pola okoliczne. Rygor ten należałoby zastosować także do innych fabryk.

Zen. Piet.

Z NIEMIEC

Berlin, 25 lutego.

Kwestye damskie.

Nadobne istoty, zwane przez nalecialość romantyczną damami i stworzone bądź do słodkiej i najsłodszej bezczynności, bądź — jak brzmi niesłychanie oryginalny zwrot — do ocierania potu z czoła swych strudzonych towarzyszów życia, mają w Niemczech swoje kłopoty i kwestye, przytem nie byle jakie. Przekonałem się o tem na własne oczy, mijając onegdaj sławne biuro najmu służących na Jägerstrasse. Trzy panie, kapiące od złota i brylantów, w eleganckich homespun'ach, z pompadurami w ręku, wyrywały sobie z rąk dziewczynę w czepeczku. Jedna z nich wołała głosem słodkim, niby śpiew syreny: „W atłasach będziesz u mnie chodziła, będziesz czytała książki z mojej biblioteki, goście moi są hojni i szafują napiwkami, męża mam starego, człeka dobrych obyczajów, dzieci żadnych." Druga i trzecia dama usiłowały przelicytować konkurentkę i obiecywały złote góry. Która z bojowniczek wróciła do domu okryta wawrzynami zwycięztwa, nie wiem, ale w każdym razie scena ta odsłania w całej grozie kwestyę służących. Prorok Izajasz przepowiedział, iż nastąpi czas, kiedy siedem kobiet będzie się uganiało za jednym mężczyzną; że panie jednak będą się uganiały o łaskę służących, tego nikt przepowiedzieć nie mógł, nawet wtedy, gdy przed rokiem zaczęły się odbywać opisane przez nas zebrania zbuntowanych kucharek i pokojówek. Dziś co prawda zgromadzenia te ustały z tej prostej przyczyny, iż wskutek chronicznego braku służących te ostatnie rzucają obecnie na szalę kontraktu służbowego, jak starożytny zwycięzca, swój żelazny miecz. Od dwóch miesięcy odbywają się stale publiczne konferencye pań ze służącemi: „Matkami będziemy Wam, będziecie źrenicą w naszem oku" — przemawiają na tych zebraniach panie do służących. „Za późno — odpowiada chór plebsu. — Opuściłyśmy Rzym i udałyśmy się na Górę Świętą, gdyż chcemy być wolne. Przyznajemy, iż położenie rzeczy trąci nietylko komizmem, lecz i swego rodzaju tragizmem, tem bardziej, iż klęska zaskoczyła panie znienacka. Z paniki tej powstała cała literatura broszurowa, poświęcona nowej bolączce społecznej. Oto czego z literatury tej dowiedzieć się możemy.

Dziś liczy całe państwo niemieckie tylko 25 tysięcy służących płci męskiej. Właściwie trzymają się instynkty służbowe tylko kobiecej ludności. W r. 1882 pełniło obowiązki służbowe w Niemczech 3% ludności, 1895 r. tylko 2,5%. Proces wyradzania się stanie przed nami w jeszcze jaskrawszem świetle, jeżeli przyjmiemy pod uwagę tylko ludność pracującą. W r. 1882 na sto osób utrzymujących się z pracy rąk własnych liczono 23 służących (kobiet), w 1895 r. stosunek ten spadł do 19. Sytuacya przedstawi się w jeszcze bardziej ponurych barwach, jeżeli za podstawę obliczeń weźmiemy tylko wielkie miasta. W 1882 r. 5,6% ludności wielkomiejskiej pełniło obowiązki sług, w 1895 r. znajdujemy na tem stanowisku tylko 4,12%. Dokonany w roku bieżącym spis ludności prawdopodobnie odsłoni smutniejszy jeszcze stan rzeczy. Widzimy więc, że wielkie miasta są właściwem siedliskiem przesilenia służbowego. Na prowincyi i na wsi nie daje się ta kwestya we znaki w tej samej formie, albowiem tam, zwłaszcza w miejscowościach rolnych, brak rąk roboczych wogóle. Tu nie może być mowy o braku służących, gdyż na wsi zacierają się różnice pomiędzy najmitą a służącym. Tu stale sroży się klęska t. zw. „Leutenoth.“

Istnieje jeszcze inna kwestya damska, która dopiero w ostatnim czasie przybiła szczęśliwie do portu rozwiązania. Przez dziesięć lat z górą błąkała się ona po morzu idei, daremnie szukając lądu rzeczywistego życia lub przylądka Dobrej Nadziei. Przed laty dziesięciu jedno z tutejszych pism kobiecych wypowiedziało kategorycznie wojnę strojowi kobiecemu, jako rzeczy bezmyślnej, paczącej zdrowie i kształty ciała kobiecego. Przedtem tylko mężczyźni obwoływali, a raczej mieli odwagę obwoływać sznurowanie za rzecz zabójczą. Trwało to przez długi czas, zanim wołanie tych proroków na puszczy odbiło się echem na łamach wspomnianego pisma. Organ ten nietylko walczył przeciwko szkodliwym zwyczajom kobiecym, ale nadto rozpisał kilkakrotnie konkurs na najlepszy wzór zreformowanego stroju kobiecego. Wszystkie współpracowniczki pisma zobowiązały się ubierać według modły zreformowanej, a zwyczaj ten przeniknął z czasem i do zastępów czytelniczek pisma. Dopóki nową ideę apostołowali mężczyźni, stawiano im zarzut nieuctwa i idyotyzmu: skąd do licha może mężczyzna mieć pojęcie o rzeczach niedotyczących jego płci. Wszak nigdy w świecie kobieta nie będzie się sznurowała tak, aby nadwyrężać swe zdrowie. Teraz, kiedy nowa prawda popłynęła z ust niewieścich, dano jej wiarę i posłuch, a nawet obdarzono oklaskami. Teraz dopiero powstały specyalne związki w celu zreformowania stroju kobiecego. Okazało się jednak, iż ruch ten natknął się na potężnego wroga, który udaremniał wszelkie wysiłki reformatorskie, bo liczył nieprzejrzany legion wiernych mu do grobu poddanych. Tym groźnym nieprzyjacielem był gorset. Nawet suknia zreformowana (t. zw. Reformkleid) nie mogła obejść się bez gorsetu, o ile wyznawczyn nie miała wystawić na śmieszność. Wszelkie kompromisy były połowiczne, gdyż nie usuwały zasadniczej kwestyi. Dopiero w ostatnich czasach nasunęło się samo przez się rozwiązanie. Jak wiadomo, sztuka stosowana do przemysłu zdobyła sobie w życiu tutejszem wybitne stanowisko. W związku z tym prądem pod wpływem Japonii, prerafaelizmu i sztuki z czasów cesarstwa, zrozumiano piękno sukni o podłużnych, niełamanych fałdach, ściśle zastosowanych do form ciała. Nieszczęsny zatem podział korpusu na dwie nieproporcyonalne i nieorganiczne połówki stał się odrazu zbytecznym. Teraz dopiero idea wywołała gorący zapał. Reformowana suknia, która jeszcze przed trzema laty na urządzonej w Berlinie wystawie specyalnej doznała niepowodzenia, teraz budzi zachwyt kół nadających ton w dziedzinie gustu i piękna. Powstały już trzy typy nowego stroju, które można zresztą kombinować dowolnie. Urządzona niedawno w Krefeld wystawa budziła prawdziwą sensacyę. *Gaudeamus igitur!* *H. F.*

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Ignacy Cezik.

Każdy z nas ma w kole znajomych co najmniej jednego, który z zasady nie chce uznawać różnic między osobami i rzeczami, równając wszystko i wszystkich obojętnem lekceważeniem i który przechadza się dumnie po głowach ludzkich, jak po luźnie ułożonym i wybojowym bruku. Chociaż ludzie tego rodzaju na 100 bezwzględnych zdań mówią zwykle 90 paradoksów, a 9 wierutnych głupstw i wogóle są nieznośni, wypowiadają czasem bardzo rozumne uwagi, na które naprowadza ich unikanie dróg utartych. Nie są to bowiem doktrynerzy, których języki poruszają się w fugach szablonu, jak nóż w ramie gilotyny, ale przekornicy, którzy każdą sprawę starają się przenicować i okazać inną stroną.

Kiedyś w obecności jednego z nich narzekano na formularz nekrologowy naszej prasy, która najrozmaitszym nieboszczykom wystawia podobnie brzmiące świadectwo pożegnalne.

— Jest to dowód jej wielkiego rozumu— odrzekł. Pakując nieponiów z bohaterami do wspólnego dołu i malując zasługi zmarłych tak, jak rzemieślnicy malują deseniami ściany pokojów — przez patrony, zmniejszają możliwość popełnienia błędu i niesprawiedliwości. Bo co my ściśleg o powiedzieć możemy o ludziach dobrze znanych, a tem mniej o widzianych zdaleka? Niedawno umarł pewien mąż, który miał, jak głoszono, ogromnie rozwiniętą „stronę bierną.“ Kilka gazet rozpuściło z żalu włosy i wyplakało: „żył sercem.“ Oburzać się? Nigdy! Naprzód nie wiadomo, czy nieboszczyk był takim, jakim go przedstawiono, a powtóre, jeżeli dopuszczał się nadużyć, to należałoby zbadać, czy nie działał pod wpływem jakiegoś zewnętrznego lub wewnętrznego przymusu. Człowiek, od czasu, kiedy zaczął wygłaszać swoje „prawdy,“ wypowiedział tyle niedorzeczności, że gdyby każda z nich była kroplą wody, nie zmieściłyby się w łożysku wszystkich mórz i oceanów; ale chyba w niczem tyle nie nabredził, co w sądach o człowieku. Najrozsądniej więc robi ten, który o nim albo nic nie mówi, albo powtarza jedną brednię.

Całe to dowodzenie jest łańcuchem paradoksów. wyznaję wszakże, że główne jego ogniwo czepiało się nieraz myśli mojej. Istotnie, co my pewnego rzec możemy o ludziach, o których wyrokujemy ciągle? Jeszcze stosunkowo nieźle udaje nam się zważyć ich wiedzę lub zmierzyć zdolności, ale gdy trzeba ocenić ich wartość moralną — zwykle rzeźbimy posągi z lodu, które natychmiast roztapiają się. Jeżeli czytelnik chce przekonać się o tem i doznać wrażenia nicości naszych niby bezstronnych i gruntownych sądów, niech przeczyta jakąkolwiek książkę o psychopatyi — Maudsleya, Dallemagne'a lub Ferego; wtedy zobaczy z przerażeniem, jak całe gromady istot całkiem inaczej wyglądają w oświetleniu nauki i oświetleniu opinii powszechnej. Rozpustnicy, gwałciciele, mordercy, złodzieje, wszystkie te typy zbrodni i znikczemnienia, gdy spojrzymy w ich wnętrze, okazują się nieszczęśliwcami, których choroba, dziedzictwo, nieprawidłowość anatomiczna skazują na występek lub upodlenie. A jak ci biedacy cierpią, jak walczą z sobą, jak się bronią przeciwko nieubłaganej sile, która ich strąca w przepaść! Bliscy i dalecy świadkowie ich życia nic nie wiedzą ani o ich męczarniach, ani o zapasach ze strasznym fatalizmem i zamiast współczucia, mają dla nich tylko słowa wzgardy lub potępienia. A jeżeli ci, czytelniku, przy poznawaniu tajemnic tej wyklętej galeryi przyjdzie na myśl: i ja zapewne nieraz krzywdziłem takie istoty — wtedy uczujesz w sumieniu droszcz wyrzutu i powiesz: ach, jakie to puste plewy te nasze sądy o ludziach!..

Dlaczego trąd, padaczka, kretynizm, złośliwy nowotwór ma w nas wzbudzać więcej litości, niż np. niepohamowany pociąg do złodziejstwa? Wszakże to także choroba i niedola. Jeden z badaczów historyi rosyjskiej powiada o pewnym skazańcu, którego skóra nigdy nie goiła się od plag otrzymywanych za ustawiczne kradzieże w więzieniu i który raz rzekł: Nie mogę powstrzymać się od przywłaszczenia rzeczy, która „źle leży.“ Wiem, że mnie za to czeka straszna kara, więc powstrzymuję się, odwracam oczy — daremnie: ręka sama się wyciąga. Jeżeli zaś tacy chorzy, opętani, tacy nieszczęśliwi wzruszają nas, to cóż dopiero mówić o wielkich talentach, gnijących w kryminałach i ciężkich robotach dzięki nieprzyjaznym warunkom życia i skierowaniu sił na złe drogi!

Para zebrana w kotle może wykonywać rozmaite prace, zależnie od maszyny, do której ją przeprowadzimy. *Ta sama* będzie tkać płótno, ciąć blachę lub wyrabiać szpilki; ta sama wytwarza przedmioty pożyteczne i obrywa robotnikom ręce. Głowa ludzka jest również zbiornikiem uzdolnień, które zależnie od nadanego im kierunku mogą być twórcze lub niszczące, dobre lub złe. W więzieniach, w miejscach kary i pokuty objawiają się ciągle między przestępcami talenty, które widocznie skrzywiły się w fatalnych warunkach i przybrały postać sił złowrogich. Pewien zbrodniarz, przykuty do taczki, tak ją przez długie lata ozdobił rzeźbami, że stała się ona dziełem artystycznem. Czy potrzeba wymowniejszego dowodu niedoli geniuszu?

W chwili, kiedy prasa nasza odszukuje na obcych ziemiach pamiątki po zniemczonym Danielu Chodowieckim, przypomniał mi się inny, już nietylko dla nas, ale dla sztuki wogóle, zatracony Polak, którego życie rozegrało się w najstraszniejszej tragedyi i który może najwyraźniej potwierdza powyżej wypowiedziane uwagi. Poważny badacz rosyjski, Maksimow, w dziele wydanem jako dodatek do *Prawdy*, kilkakrotnie i z wielkim zachwytem mówi o Ignacym Ceziku. W historyi tego dziwnego człowieka zatarły się pewne fakty, które dziś nie pozwalają nam odtworzyć jej dokładnie. Tyle wiadomo, że urodził się w wiosce pod Słuckiem, że w Wilnie nauczył się rysunku i lepienia przedmiotów ozdobnych z gliny i że około r. 1825 wszedł do jakiegoś tajemniczego towarzystwa (masońskiego?), które natchnęło go zgubną myślą podrabiania banknotów. Osądzony w Bobrujsku, pozbawiony został majątku wraz ze szlachectwem i posłany do robót ciężkich na Syberyi. Ponieważ już w więzieniu zwrócił talentem na siebie uwagę władzy, więc zatrzymano go w Tobolsku, gdzie jako aresztant zdobył wkrótce taką sławę, że jego wyroby, drogo płacone, posyłano do Petersburga i Moskwy. „Pięknością figur—mówił ktoś znający go—dorówny-

wały antykom greckim, ornamenty kubków, dzbanków i waz były prześliczne, pełne fantazyi gotyckiej; obrazy zaś z gliny były wprost dziełem artysty-rzeźbiarza". W Tobolsku miał Cezik stosunkowo dobre warunki życia. Zamówienia nadchodziły bez przerwy i licznie. Ożenił się, doszedł do posiadania domu z ogródkiem, życzliwy rodak, Piotr Moszczyński, wyznaczył mu 300 rb. dożywotniej pensyi, władza nie krępowała surowością, słowem wydobył się z toni. Ale zły duch stanął przy nim i skusił go po raz drugi: Cezik zaczął znowu fałszować pieniądze, za co skazany został do ciężkich robót w kopalniach Nerczyńskich. Tu również zyskał pobłażliwość władzy i zajął się swojemi pracami, które zyskały szeroki rozgłos. Rozchwytywano je. Nie osiągając już wszakże za nie wysokich cen, podniecony chęcią zarobku, zmordowany więzieniem, a wreszcie wiekiem, zaczął wyrabiać rzeczy gorsze, pospieszne. W r. 1857 przeniesiono go do Irkucka, gdzie doczekał późnej starości.

Nie wszystkie utwory Cezika posiadają jednakową wartość, zwłaszcza że do niektórych, jako narzędzi, siedząc w więzieniu, używał połamanych gwoździ, ości rybich, kawałków szkła itp. Nadto miał on uczniów i synów, którzy mu pomagali, a nie posiadając jego talentu, obniżali wartość przedmiotów, wychodzących pod jego imieniem. Niektóre wszakże, wykonane przezeń starannie, dosięgają podobno wysokiej miary artyzmu. Maksimow wylicza najważniejsze. Zapewnia on, że one „ozdabiały gabinety najbogatszych przemysłowców i naczelników syberyjskich". A więc zapewne przechowały się dotąd. Gdyby można było dostać choćiaż kilka okazów dla muzeum, oglądalibyśmy je z ciekawością. A jeżeli to życzenie dojdzie do odległych miejsc Syberyi, może zbudzi starania w tym kierunku.

I oto w dziejach tego przestępcy, tej duszy opętanej, potężnej mamy skróconą historyę bardzo wielu geniuszów, ginących w poniewierce losu, mogących olśniewać swymi promieniami świat cały a rozświecających zaledwie cele więzień i izby katorgi. Nieszczęśliwy zbieg okoliczności, czasem jeden zgubny podszept, jedna szatańska pokusa i wielki duch zamiast wzlecieć na wyżyny chwały, stacza się w przepaście występku i niedoli. Wtedy chyba ironia życia ludzkiego wybucha najdzikszym śmiechem.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

HUMANISTA-POETA.

J. K. Potocki: *O energii społecznej* (rzecz z powodu „Logiki ekonomii" Z. Heryngа), oraz *Współdziałanie i współzawodnictwo*).

Wyszedł zbiór artykułów J. K. Potockiego, zatytułowany *Współdziałanie i współzawodnictwo*. „Na książkę tę złożyły się różne studya i szkice socyologiczne. Konieczność nadania im w swoim czasie większej aktualności kazała nam zespalać je ze zjawiskami naszego życia umysłowego. Jakoż prace te przedsiębrane były zazwyczaj z powodu ukazywania się w naszem, niekiedy w obcem piśmiennictwie dzieł socyologicznych— są to przeważnie próby samoistnego oświetlania różnych zagadnień społecznych, próby, do których przedsięwzięcia autor jedynie szukał powodu w fakcie ukazania się takiej lub innej książki socyologicznej."

Większość prac obraca się koło zagadnień, związanych ze sprawą kobiecą. Do ich liczby należą przyczynki o „Doborze miłosnym" i o „Kobiecie i mężczyźnie." Jedna z rozpraw poświęcona jest stosunkowi geniuszów do tłumu, druga—rozbiorowi tezy, czy społeczeństwo jest organizmem. Nadto, nieco wcześniej, w oddzielnem wydaniu, ukazała się książeczka o energii społecznej.

Są to rzeczy bardzo niejednakowej wartości naukowej, a niektóre rozprawy są nawet bardzo słabe. Ale we wszystkich istnieje pierwiastek, który zmusza zapomnieć o ujemnych stronach i pociąga czytelnika do autora martwych, a jednak takiem życiem drgających stronic. Dusza, głęboka, czuła dusza humanisty wydobywa się z pośród wywodów i urokiem swoim porywa, a rozkołysana wyobraźnia uniemożliwia wnikanie w treść przeczytanego. Mowa tam o społeczności, jej zjawiskach i prawach, ale myśl wysuwa się z więzi społecznej, takiej, jaką czas stworzył w pewnem miejscu, muzyka wyrazów rozleniwia, a jaźń roi się uczuciami.

Jednak sam J. K. Potocki w ciągu blizko dwóch dziesiątków lat budził naszą społeczność, a ogłoszone drukiem w zbiorowej książce prace stanowią zaledwie drobny ułamek tego, co napisał. W jego działalności publicystycznej, bo publicystą był on do głębi istoty swojej, znajdują się rzeczywiste perły języka i uczucia — dzisiaj zapadłe w grób niepamięci, zapomniane przez gwarne, a jednak opieszałe i martwe życie epoki „kantorów." Posługiwał się fejletonem, który niekiedy był pieśnią i modlitwą zarazem, używał formy poetyckiej, zapuszczał się w wywody naukowe. A nie było zagadnienia, na którem nie spoczęłaby myśl jego, hołdująca zasadzie: człowiekiem jestem i nic, co go obchodzi, nie może mi być obcem. Ale niespokojna, niedługo zatrzymywała się nad przedmiotem, bo ledwie potrąciła go, a już zrywała się do nowego lotu. Gdy rozglądam się w całej działalności J. K. Potockiego, wypływa w mojej wyobraźni typ błędnych rycerzy, którzy tułali się po świecie, poszukując wielkiego czynu, stawali po stronie uciemiężonej sprawiedliwości, opromieniając ją poezyą, ale nie przyzwyczajeni do dyscypliny i systematyczności, niebawem poszukiwali innej sprawy i oddawali się jej na czas jakiś całem sercem, byleby tryskała z niej aureola piękna moralnego. W takich naturach niema materyału na bojowników zwartego zastępu, idą oni podjazdem i wojują na własną rękę, zrywając dawne sojusze, zawierając nowe przymierza, zawsze niespokojne, w rozterce ze światem nietylko „kantorów," ale i duchów, a nawet z samymi sobą. Czego chcą, nie zawsze sami umieliby dokładnie nam opowiedzieć, ale zawsze możemy być pewni, iż każda sprawa uczciwa znajdzie w nich rzeczników — dawniej z orężem w ręku, kiedy rozkwitłe pola otrzymywały zasiew krwi obfity, dzisiaj — gdy „kantory" wżarły się w życie i przekazały dawny rynsztunek rycerski do archiwum starożytności — z piórem w ręku. Budzą oni myśl z uśpienia i przyprawiają jej skrzydła, chociaż niezdolni wytknąć jej kierunku; rozniecają w duszy podnioślejsze uczucia, acz nie wykreślają im dokładnie drogi; opromieniają to, co ukochali, światłem poezyi, lubo nie zawsze umieją działać na korzyść tego, co umiłowali — a zawsze sami, nie tyle z przekorności, ile z nieumiejętności zrozumienia cudzej myśli. Są bowiem subjektywistami wyjątkowej siły: w ich duszy wszystko załamuje się pod osobliwym kątem widzenia, nie myśl kształtuje się według rzeczywistości, ale rzeczywistość zostaje wykoszlawiona odpowiednio do model ich czucia i zamiaru. J. K. Potocki był jednym z takich rycerzy pióra, powtarzam: rycerzy, nie dlatego, ażebym poszukiwał retorycznego zwrotu, ale ponieważ wyraz ten właśnie najlepiej oddaje to, co pragnąłbym wypowiedzieć.

Był on humanistą, a zarazem poetą.

W tem spoczywa tajemnica uroku, jaki powiał na nas przy czytaniu wydanych przyczynków, w tem także tkwi słabość jego rozumowań i brak naukowości w jego niby-naukowych wywodach. Humanizm ciągnął go do zajmowania się zagadnieniami społecznemi, poezya za drogowskaz dawała uczucie, cenny upominek, który jednak, o ile go jest zbyt wiele, często prowadzi na manowce i zastępuje rzeczywistość płodami własnej wyobraźni.

Humanizm nie tylko odstręczał J. K. Potockiego od „kantorów," ale także od pojmowania zjawisk społecznych, jakie epoka industryalizmu stworzyła i zarazem dała, jako doskonały oręż, do ręki ludziom, którzy jednakiem z nim uczuciem darzyli przybytki dzisiejszej produkcyi i wymiany. Lgnął on do socyologii bezklasowej, tego schronienia oderwanych, od rzeczywistości humanistów nowoczesnych. Ward, Kariejew, Guyau powtarzają się często na stronicach jego pracy i widać, że ze wszystkich analityków życia dziejowego i społecznego najbardziej przypadli mu do serca, a z pisarzy, którzy zdecydowali się zająć stanowisko klasowe, ciągnie go ku sobie Gronlund, pół mistyk, który w rozwoju społecznym widział coraz silniejsze ujawnianie się zasady porządku wszechświatowego, występującego w życiu społecznem, jako żywiołowe dążenie ku oparciu więzi społecznej na podstawach bezwzględnej moralności, będącej tylko subiektywnym, ludzkim wyrazem owej zasady porządku kosmicznego. Nie lubi on dyalektycznego pojmowania dziejów, każącego liczyć się z podłożem rzeczowem społeczeństw, a spoglądającego na ideje jako na odzwierciadlenie w głowie ludzkiej zadań, postawionych przez życie. Eklektyzm, nieodłączny przymiot humanizmu chwili obecnej, a właściwy wszystkim wymienionym przez nas, a ukochanym przez J. K. Potockiego socyologom, nie opuszcza go w ciągu wywodów, a kiedy zajmie w nielicznych wypadkach wyraźnie stanowisko klasowe, to swoją drogą poglądy jego noszą jasne ślady, iż je przesiano przez rzeszoto *a la* Gronlund. Natomiast głębocy analitycy w. XIX, którzy po raz pierwszy odsłonili tajemnice wszelkich kantorów, ale umieli „ześrodkować" swoje sympatye i wrażliwość, zrywając z pospolitym eklektyzmem wszechstronnego uczuciowego humanisty, są stałym przedmiotem jego niekiedy naiwnych napaści. W tym razie hołdował on maksymie Talmudu, iż wyrwać choćby jedną szczecinę z grzbietu „nieczystego" zwierzęcia jest zasługą przed Jehową.

Dziecko umysłowe idei humanitarnej, karmiące się tylko jej płodami a unikające „czerstwej," „jednostronnej" analizy chirurgów kantoru, spostrzegał w życiu społecznem na pierwszem miejscu działanie jedynie czynników świadomości. „Moralność ukazuje się nam jako potężny czynnik społeczny, mający źródło swe w najdalszych głębiach zachowawczego instynktu jednostki albo rasy i nie mogący nie oddziałać na równi z czynnikami innymi, nie mogący nie rozwijać się i potęgować, bądź całkiem samorzutnie, bądź tembardziej jeszcze przy udziale świadomości, wskazującej nam źródła potęgi jego i prawa jego rozwoju...." „Grzeszy tu autor brakiem przedwstępnej analizy samego pojęcia moralności. Powtarza on za innymi, że moralność jest względną, jakkolwiek w zamian za ten oklepany, a płytki ogólnik czytelnicy chcieliby zapewne dowiedzieć się: co jest bezwzględnego w każdej bez wyjątku etyce ludzkiej." Zapatrzony w rodowód własnych idei, nie mógł zrozumieć i nigdy nie zrozumiał tych, którzy próbowali wyświetlić pochodzenie stanów psychicznych, a raczej ich treści

społecznej. Zdawało mu się zawsze, iż co najmniej zaprzeczają możliwości jakiegokolwiek oddziaływania człowieka na bieg zjawisk dziejowych, a nawet pragną go uczynić zupełnie bezwładnym atomem. Sypią się na nich niezasłużone zarzuty bez najmniejszej chęci zrozumienia ich wywodów. „Dla socyologów jednak niektórych ów magazyn narzędzi najrozmaitszych oraz ich połączeń i użytków, owa pracownia niestrudzona skojarzeń nowych, zwana świadomością, nie jest czynnikiem dość ważnym i o tyle orzekającym, aby historya jego działalności zasługiwała na jednakie uwzględnienie w dziejach społecznego rozwoju z narzędziami i formami produkcyi... Dla nich społeczeństwo jest jakąś bezwładną masą, którą kształtują i urabiają czysto mechaniczne czynniki materyalne, zapomina się tutaj, że ostateczny wynik owego urabiania zależy nadto od świadomości klasowej, która owładnąwszy nowemi narzędziami, znakomicie przyczynia się do takiego lub innego kierunku ich działania.“ Czytelnik, który zna napastowane poglądy, spostrzeże odrazu, iż zarzuty są zwrócone przeciw jakimś manekinom, wymyślonym przez J. K. Potockiego, i naturalnie, z łatwością ucina on łby tym dziełom swej poetyckiej fantazyi. Niekiedy, a spostrzegamy ten sposób walki nawet w tylko co przytoczonym ustępie, przywłaszcza sobie poglądy i argumenty przeciwników i nimi usiłuje zmodz urojonych infamisów. Zdarza się mu to często: Spencer, Krusiński pokutują za winy niepopełnione, a co więcej są mordowani bez litości własnym ich na rzeczy poglądem. Napotkany u przeciwnika argument, w toku dyskusyi przywłaszczał sobie, zapominał o tem i później zarzucał, iż właśnie przeciwnik zapomniał o takim donioslym fakcie. Publicystyka, tem sprzyjająca tego rodzaju doraźnym fortelom, że po paru tygodniach nikt nie sprawdza, kto miał słuszność, przyczyniała się do spotęgowania takich nieświadomie stosowanych podstępów, nieświadomie, bo J. K. Potocki szczerze wierzył, iż argument jest jego niezaprzeczoną własnością.

Poezya, a poetą był J. K. Potocki przedewszystkiem, przejmowała go odrazą do źródłowych studyów i zwracała ku przedstawicielom tak zwanej socyologii ogólnej, tego aż nazbyt często śmietniska frazesów, bujających po nad szrankami miejsca i czasu. Zajmują go więc zagadnienia takie, jak teorya organizmu społecznego, przeciw której nasz zasadniczy zarzut polega na tem, iż dając głównie przekład objawów społecznych na język terminów biologicznych, ani na krok nie posuwa istotnej znajomości zjawisk społecznych. Zatrzymuje się nad stosunkiem geniuszów do tłumu, rozpatruje biologiczne pierwiastki charakteru płci obojga i związane z nimi ideały, zastanawia się nad pojęciem energii społecznej. Są to wszystko pytania, w których rozbiorze można wyzwolić się z pod pęt stosunków historycznych, realnych. A im jakieś zagadnienie jest bardziej oderwane od więzów miejsca i czasu, tem myśl naszego autora, operująca ogólnemi założeniami, staje się głębszą i przenikliwszą, a zaczyna kuleć z chwilą, gdy schodzi na ziemię i podejmuje rozbiór naukowy konkretnych stosunków. Karmiona jedynie przyczynkami ogólnej socyologii, bez treści zaczerpniętej ze studyów nad pracami źródłowemi, była ona na łasce ostatnio przeczytanej książki. Załamywała jej poglądy pod właściwym sobie kątem widzenia, a zapłodniona jej treścią, próbowała własnego lotu i wcielała się w ustępy, posiadające bardzo artystyczną formę. Rzeczywiście oryginalnych idej niewiele tam spotkaliśmy, co bynajmniej nie przeszkadza, ażeby autor szczerze wierzył w ich oryginalność, ale za to znaleźliśmy wiele myśli, dobrze znanych, wypowiedzianych w tak zręcznej formie, iż pierwszeństwo pod tym względem należy się J. K. Potockiemu. Tą powolnością w przyswajaniu sobie ostatniej rzeczy przeczytanej, naturalnie w szrankach eklektycznego humanizmu, tłomaczy się niekonsekwencya, napotykana niejednokrotnie na stronicach *Współzawodnictwa i współdziałania*: są tam ustępy sobie przeczące, jak gdyby pisała je nie ta sama ręka. Sposób zaś pisania z numeru na numer jeszcze bardziej potęgował te strony ujemne: rozumowanie płynie raczej łożyskiem gawędy, rozpryskującej się na różne strony, niż — ścisłej logiki wywodów naukowych, często zaś tam, gdzie po wstępie winniśmy oczekiwać jądra rzeczy, wykład urywa się zupełnie i nie bywa nawiązany.

K. R. Żywicki.

HISTORYA.

J. K. Kochanowski: *Kazimierz Wielki*, zarys żywota i panowania. („Życiorysy znakomitych ludzi“). B. Natanson. — *Witold, wielki książę litewski*. Lwów.

(Dokończenie).

Daleko lepszą pracą, bo do pewnego stopnia samodzielną, jest drugie dzieło historyka, poświęcone charakterystyce i działalności największego bohatera dziejowego Litwy — Witolda. Jednakże nie wznosi się ono ani do poziomu tych dzieł historycznych, które zachwycają nas barwnością i plastycznością obrazowania, ani do poziomu tych, które przykuwają naszą uwagę głębokością i szczerością uogólnień, wnikających w istotę i przebieg życia dziejowego. Wartość naukowa studyum p. Kochanowskiego polega na wciągnięciu do opowieści historycznej materyału źródłowego, z którego badacze jeszcze dotychczas nie korzystali: zresztą materyał ten, zaczerpnięty przeważnie z wydawnictwa „Codex epistolaris Vitoldi,“ odsłania nam drobne fakty z działalności genialnego polityka Litwy. Wprawdzie p. K. mówi i o wewnętrznej polityce Witolda, o jego usiłowaniach, zmierzających ku podniesieniu kultury na Litwie, ale mówi urywkowo, zaledwie potrącając o tę stronę rządów Witolda, co z żalem do historyka musimy zaznaczyć, albowiem rzucone w dwóch, trzech miejscach wyrazy o wewnętrznej działalności Witoldowej nie mogą dać nam słabego nawet wyobrażenia, o ile kultura Litwy podniosła się za Witolda. Czegóż np. może nas nauczyć pod tym względem ustęp taki: „praca nad podniesieniem kultury kraju, przypominająca żywo usiłowania Kazimierza W., a polegająca na obdarzaniu przywilejami Żydów w celu ożywienia stosunków handlowych i ekonomicznych Litwy i popieranie tychże stosunków przez zawieranie układów handlowych z ościennymi rynkami, a wreszcie praca budowlana, powierzana architektom zagranicznym, dopełniają w tym okresie działalność Witolda na Litwie“ (str. 130).

Pozwolimy sobie wyrazić zdanie, może i za śmiałe, że nauka daleko większy pożytek odniosłaby, gdyby historyk zastanowił się głębiej i dłużej nad stanem życia ekonomicznego Litwy za Witolda, gdyż o dziejach politycznych z owych czasów mamy już sporo rozpraw naukowych i historyk nasz, poświęcający studyum swoje tym dziejom, nic nowego właściwie nie powiedział, jeżeli mieć będziemy na względzie nie wydobycie drobnych faktów ze źródeł historycznych, lecz wyjaśnienie przebiegu życia dziejowego. Autor usiłuje przedstawić postać Witolda w świetle odmiennem od tego, w którem ukazuje się bohater Litwy u innych badaczów. Cele i dążności Witolda p. Kochanowski tak rozumie: „Plemienna samodzielność Litwy, którą książę ten od przewagi wpływów obcych ocalał, miała się wspaniale za jego rządów rozwinąć. Jeżeli zaś później, unikając powodzi cywilizacyjnych wpływów świata ruskiego lub niemczyzny, nie zdołała mimo to Litwa ustrzedz swej indywidualności rodzimej, polonizując się niemal całkowicie, to przyczyna tego zjawiska leży w następnych kolejach dziejowych. W szeregu bowiem późniejszych władców Litwy nie znalazł się żaden duch w rodzaju Witoldowego, któryby potęgą własnego geniuszu i uczuć rdzennie litewskich potrafił zrównoważyć z wymaganiami epoki cywilizacyjną młodszość swego kraju“ (str. 64). Albo w drugiem miejscu: „Kiejstutowicz był dla plemion litewskich człowiekiem opatrznościowym, mającym je od zupełnej zagłady uchronić; nie był on ani Polakiem, ani Rusinem: był Litwinem i wcieleniem sił intelektualnych szczepu litewskiego...“ (str. 83).

Na podstawie tych słów można byłoby wnieść, że mamy przed sobą narodowca w duchu XIX w. Gdybyśmy tak zrozumieli autora, popełnilibyśmy błąd, albowiem gdzieindziej powiada (str. 156), że „w epoce, w której Witold żył i działał, uważano samodzielność i niezależność polityczną za jedyny warunek indywidualnego rozwoju narodów.“

Mniejsza o oryginalność tego poglądu, szkoda tylko, że autor nie popiera go dowodami: z opowieści zaś, którą daje nam o czynach wielkiego Litwina, można powziąć jeno wyobrażenie o nim, jako o genialnym polityku. Przed nami bowiem roztacza się niezmiernie długi szereg jego zręcznych zabiegów dyplomatycznych, układów politycznych przebiegle zawieranych i podstępnie zrywanych, przyglądamy się ze zdumieniem jego rozległym planom, zmierzającym ku podniesieniu potęgi państwa, ale nigdzie nie znajdujemy żadnego faktu, któryby stwierdzał założenie autora, że to wszystko czyni wielki rządca Litwy w tym celu, ażeby przyspieszyć rozwój swego narodu. Więc założeniu brakuje trwałej podstawy, jaką mogą stanowić tylko fakty historyczne.

Co się tyczy charakterystyki Witolda, to, zdaniem naszem, grzeszy przesadnem uwielbieniem dla bohatera Litwy: wszystko, czego on dokonał, zasługuje według sądu historyka na najwyższe jedynie pochwały, ujemnych cech charakteru Witoldowego badacz zaledwie dotyka, powiadając np. w jednem miejscu tylko co następuje: „wiadomo, że książę ten w środkach nie przebierał, a trucizna i sztylet były w tych czasach narzędziami, któremi polityka bynajmniej się nie brzydziła“ (str. 98).

Opowiadaniu zaś o działalności Witolda musimy uczynić zarzut, iż autor nie podkreśla z siłą należytą najdonioślejszych chwil w życiu samego bohatera i nie zastanawia się głębiej nad przyczynami, których następstwem były owe chwile, i nad znaczeniem tych ostatnich w dziejach Polski, Litwy, a często nawet Europy całej: rzec by można, że dla autora wszystkie fakty jednakową mają wartość.

Według mniemania naszego historyka, Witold przedsiębrał wyprawy przeciwko Tatarom z pobudek, które przypisywali temu władcy i inni badacze, tj. historyk uznaje wraz z nimi, iż Witold zapragnął obalić potęgę hordy, aby tym sposobem rozszerzyć swoje panowanie na cały wschód Europy; klęska nad Worsklą olbrzymie te plany doszczętnie zburzyła i zmusiła Witolda nadać polityce zupełnie inny kierunek. Jak widzimy, chwila to nader doniosła w dziejach politycznych całej Europy, a cóż o tej chwili znajdujemy u naszego autora. Oto tylko tyle: „Przed Witoldem, jako pogromcą tej zmory (tj. tatarszczyzny), gnębiącej świat ruski, otwarłoby się niechybnie panowanie nad szerokim Wschodem i zajaśniałaby potęga tak wielka, że

odpowiedzieć jej ogromowi mógłby tylko podziw (czy tylko?) ówczesnego świata" (str. 101). A po klęsce: „Klęska, poniesiona przez Kiejstutowicza nad Worsklą, była dlań poniekąd nieszczęściem podwójnem: raz sama przez się jako pogrom, zawód w nadziejach i wypadek rujnujący niemal zupełnie potęgę jego na Litwie i na Rusi, a powtóre z powodu, że nastąpiła prawie jednocześnie ze zgonem królowej Jadwigi" (str. 110).

Sądzimy, że toż samo da się powiedzieć o takich ważnych chwilach dziejowych, jak bitwa pod Grunwaldem, unia Horodelska, sobór w Konstancyi, unia z Czechami. Te wypadki powszechno-dziejowej doniosłości giną u naszego historyka w powodzi drobiazgów dyplomatyczno-politycznych.

Na zakończenie naszego rozbioru uszczknijmy kilka kwiatków stylu, odznaczającego się czasem wielką pretensyonalnością. „Arsenał idealnej prawomocności władzy monarszej" (str. 31). Śmierć Gedymina i walki pomiędzy jego synami „wielką spuściznę po przodkach unieruchomiły na lat kilka" (str. 50; musimy się przyznać, że myśli autora nie rozumiemy, a nawet odmawiamy sensu temu wyrazowi). „Na aureolę opromieniającą statut wiślicki składa się tedy pamięć wiekopomna i dziękczynna o zapoczątkowaniu dwóch, najpotężniejszych w organicznem życiu każdego państwa idei, mianowicie idei jego jednolitości i podporządkowującej się temu postulatowi zasady unormowanego a trwałego obwarowania praw jednostki w ramach organizacyi ogólnej" (str. 63). Styl pracy o Witoldzie jest daleko prostszy i jaśniejszy, ale i tu napotykamy takie zwroty, jak np.: „Dla Mieszka II było zaszczepienie kultury zachodniej w barbarzyńskiej Polsce XI wieku nie celem *rozpowszechniania cywilizacyi na korzyść Zachodu*, lecz środkiem *do upaństwowienia własnego kraju*." „*Polityczny artysta architekt, hołdujący idei sztuki dla sztuki*, jakim Mendog stał się pod koniec swego panowania..." (str. 11).

Wobec braku u nas dzieł popularnych o tak wielkich postaciach dziejowych, jak Kazimierz W. i Witold, uważać należy prace p. Kochanowskiego za pożyteczne i polecić je, zwłaszcza studyum o Witoldzie, szerszemu ogółowi do pilnego odczytywania.

Witold Nowodworski.

NOTATKI NAUKOWE.

— Wielcy ludzie nie starzeją się nigdy; nie stają się przedmiotem antykwarskich poszukiwań i dociekań i żyją wiecznie w świadomości świata, a tem bardziej w świadomości własnych społeczeństw. Nic tedy dziwnego, że John Morley, wielki mąż stanu, głęboki filozof, znakomity publicysta na schyłku życia zajął się osobistością potężnego purytanina, Oliwera Cromwella i poświęcił mu świeżo poważne studyum (str. VII i 510, Londyn, Macmillan and Co.). Aż do niedawna nie umiała historyografia angielska ocenić sprawiedliwie Cromwella. Clarendon patrzał na niego jako na rebelionistę i tyrana, Edmund Burke wyczuwał w nim ambicye osobiste i niezdrowe, człowieka, który pod płaszczem religii nosił egoizm i pościg za egotycznym a fałszywym celem, a który jednocześnie obdarzony był charakterem silnym, narzucającym swój wpływ rządowi. Godwin na początku XIX stulecia nie mógł przebaczyć Cromwellowi okrucieństwa i zdrady dawniejszych przekonań i przyjaciół, wyśmiewał jego bigoteryę, ale czcił w nim jedną z rzadkich na tem stanowisku jednostek. Macaulay, a za nim Carlyle dopiero nieco zbliżyli się do prawdy i rzucili na niedocenionego lorda-protektora snop sympatycznego światła. Gardiner — w tym szeregu ostatni — stwierdził wreszcie, że Cromwella przeżyła tylko destrukcyjna część jego pracy; to zaś, co on zbudował, zginęło. To też nazywa jego działalność „bohaterską tragedyą." Dopiero Morley w pracy, na którą chcielibyśmy zwrócić uwagę, wzniósł się do harmonijnej, zarówno światła, jak i cienie uwzględniającej, charakterystyki: podziwia w nim męża stanu, który tylko dobro ojczyzny swej miał na względzie; nie zapomina jednak w wyrazach pełnych szczerego oburzenia wykreślić z listy zasług jego polityki irlandzkiej, dzikiej, krwiożerczej.— Może dodać należy, że mamy do czynienia ze spadkobiercą polityki i ideałów Gladstone'a, rzecznikiem *home-rule*'u, z sekretarzem stanu dla Irlandyi z gabinetu Roseberry'ego.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

Blaze de Bury: *Le roman anglais contemporain.* 1900.

Blaze de Bury napisał bardzo piękne studyum krytyczne o współczesnym romansie angielskim, w którem dokładnie charakteryzuje główne jego prądy.

W powieści angielskiej uderza naprzód to, iż wtargnęły do niej nietylko poezya, ale nauki i sztuki — muzyka, malarstwo. Wystawy, prasa, salony wywołują ciągłe ocieranie się o siebie przedstawicieli różnych gałęzi twórczości umysłowej. Odbija się to głównie na powieści, w której odnaleźć można wpływy nietylko Wagnera i Rosetti'ego, ale Huxley'a i Darwina. Drugą cechą charakterystyczną powieści współczesnej jest brak w niej psychologii. Mamy tu zwykłą zmianę mody. G. Elliot doprowadziła analizę wewnętrzną do wielkiej doskonałości. Obecnie mamy reakcyę: pisarze, jak Hardy, zwrócili się raczej ku fizyologii, którą inni znów, jak Jerzy Moore, łączą z estetyką. Psychologię wyłącznie uprawia już jeden chyba tylko Meredith, ale za to ma on mniejsze powodzenie. Większość pisarzów szuka natchnienia w socyalizmie, a nawet w egzegezie religijnej, jak pani Ward, niektórzy w hypnotyzmie, jak du Maurier, a po części i Stevenson.

Z wyjątkiem Mereditha, Moore'a i Hardy'ego wszyscy współcześni pisarze angielscy zajmują się kwestyami bieżącemi: jednostka ludzka usuwa się u nich na plan drugi, środowisko społeczne — na pierwszy, i to nie koniecznie środowisko angielskie, ale raczej kosmopolityczne. Gissing przenosi nas chętnie do Włoch, Moore i du Maurier — do Paryża, Malloch— do Wiednia. Dzieło nie odpowiada w ten sposób rasie pisarza i traci przeto na trwałości. Przedstawiając środowiska cudzoziemskie, autorowie ci wyprowadzają bohaterów, którzy wyrażają własne ich uczucia. Pod wpływem Ruskina, Rossetti'ego, Burne-Jonesa, Baudelaire'a i Swinburne'a wytworzyła się estetyka nader zagmatwana, mająca na celu odtworzenie ducha Florencyi z XIV w. i krajobrazów *a la* Botticelli w powieści współczesnej. Najjaskrawszym przykładem tego kierunku jest „Tragedya wiejska" pani Margaret Woods.

Anna Pontin, siostrzenica bogatego fermera, kocha młodego parobka, który jest podrzutkiem. Ma z nim dziecko nielegalne. Parobek umiera, a ona rzuca się do stawu. Jest rzeczą charakterystyczną, iż temat taki wybrany został przez p. Woods, która jest córką biskupa anglikańskiego. Ale nie o to nam chodzi. Autorka robi z Anny postać w duchu Botticellego i stara się symbolizować jej stany duchowe za pomocą szczegółów zewnętrznych, idąc w tem za radą, którą Ruskin dawał malarzom.

Takie są główne prądy współczesnej powieści angielskiej. Jeżeli ogólna charakterystyka tych prądów u Bury'ego jest doskonałą, to nie można tego powiedzieć o charakterystyce oddzielnych pisarzów, z wyjątkiem chyba Moore'a, najwybitniejszego przedstawiciela młodej Anglii. Jerzy Moore rozpoczął swą karyerę romansem fizyologicznym p. t. *Mere accident.* W przeddzień swego ślubu z młodym mistykiem, Nortonem, bohaterka, Kitty, błądząc samotnie w lesie, spotyka włóczęgę i pada jego ofiarą. Kitty jest oszołomiona, ale tajemnicy swej nie wydaje. Napróżno ojciec jej, który jest pastorem, wymaga od niej spowiedzi. Skupienie moralne bohaterki, rezultat kalwinistycznego wychowania, które wymaga tylko samopomocy wewnętrznej, bez oparcia, ani nawet rady z zewnątrz, powstrzymuje ją od wyznania. Obowiązek wydaje jej się wymagać śmierci, fermentacya jej duszy, wytrąconej z równowagi, prowadzi ją do samobójstwa, od którego religia mniej indywidualistyczna mogłaby ją powstrzymać. Zresztą sam Moore przyznaje, że mamy tu do czynienia nietylko z rezultatem doktryn religijnych, ale wprost z rysem rasowym i to tak głębokim, iż sam protestantyzm Anglika ma być wytworem tylko jego temperamentu. Tym indywidualizmem przyrodzonym objaśnia się, iż Kitty uważa się wciąż za winną, gdy jest tylko ofiarą; by nie znaleźć się w roli uniżonej, ta dusza wierząca chętniej umrze, niż wyda tajemnicę hańbiącą: jest więc posłuszną temperamentowi a nie sumieniu.

Swoją jednak drogą wskazówki religii mniej rygorystycznej mogłyby ją uczynić bardziej wrażliwą na wysiłki ojca, który z całego serca chciał jej pomódz, i utrzymałby ją przy życiu. Moralność egoizmu nie jest więc wystarczająca, ani też wynurzenia bezpośrednie człowieka przed Bogiem. Myśl ta jest tak głębokiem przekonaniem Moore'a, iż w dziesięć lat później, w ostatniej swej powieści *Evelyne Ynes* (1899) do niej powraca, pisząc otwartą apologię katolicyzmu i spowiedzi.

Przedtem jednak napisał *Esther Waters*, która jest także przedstawicielką tej rasy samodzielnej. Jest to służąca, którą uwodzi book-maker William i porzuca. Pojedynek między społeczeństwem a tą nową ofiarą rozpoczyna się tem, iż wypędza ją z domu matki ojczym-pijak. Dobroczynność faryzeuszowska odwraca się wszędzie od Estery, która dla odbycia połogu udaje się do szpitala, gdzie, śród szczęku narzędzi stalowych i śmiechu studentów, żadnej litości nie widzi. Powiła syna i chciałaby dlań odzyskać szacunek ludzki. Cel ten w zupełności ją pochłania, żadne trudności jej nie odstraszają. Nie obawia się walki i to tak dalece, iż zgodnie z naturą moralizatorską Saksonki, nie szczędzi innym wskazań etycznych. A walka ze społeczeństwem okrutnem tej matki, która chce wyżywić swe dziecko, jest iście tragiczna. Staje się mamką dziecka bogaczy, którzy z obawy zarazy zabraniają Esterze odwiedzać swego syna, oddanego pewnej fabrykantce aniołków i przymierającego głodem. Estera go bierze, wychowuje i robi zeń dzielnego człowieka.

Esther Waters jest angielką silną i energiczną, natomiast Evelyne Innès — mistyczną i narwaną. Jest to córka organisty, tak zagłębionego w muzyce, iż nie spostrzegł, jak bogaty lord Owen Aster mu ją uwiódł i uwiózł. Miliony lorda zapewniły Ewelinie naprzód pierwszorzędnych nauczycieli śpiewu — miała głos czarujący i była piękną — a następnie występy w operze paryskiej. Po Asterze miała innych kochanków ale sztuka daleko bardziej ją roznamiętnia, niż oni. Teatr wyciska na niej swe piętno, tak iż nie sposób odróżnić, gdzie się zaczyna życie,

a gdzie się kończy scena. To też w końcu opanowuje ją chęć odegrania przed sobą własnego swego życia i opowiedzenia go innym — udaje się do spowiedzi.

Korzysta z tego nastroju powien zręczny *Monsignor* światowy, który za pomocą zakonnic stara się wciągnąć Ewelinę do klasztoru. Wszystko to dzieje się „ad majorem Dei gloriam.“ W napadzie pesymizmu Ewelina przechodzi z swej loży do celi klasztornej, gdzie zachwyca siostry cudnym swym głosem, który zarazem napełnia je trwogą, gdyż porusza głęboko ukryte struny duszy. Pośród głosików bezpłciowych chóru potężny kontralto Eweliny wydawał się jej samej nieprzyzwoitym. Powoli jednak, uśpiona tem otoczeniem lilij sennych, Ewelina zamienia upojenie sceną na czary mistycyzmu. Upaja się teraz żądzami boskiemi i religijnymi obrzędami. Sztuka zabiła w niej kobietę, religia zabija w niej aktorkę.

Wszystko to daje możność opisywania rytuału i kultu, a także zaznajomienia czytelnika ze wszystkiemi dekoracyjnemi i muzycznemi rozkoszami mistycznego libertynizmu. Powieść ta jest zarazem pretekstem do wypowiedzenia się za spowiedzią, którą Moore uważa za jeden z najpotężniejszych reaktywów przeciwcielesnych. Katolicyzm jest, jego zdaniem, religią zmysłową, ale zarazem głęboką w pomysłach. „Dramat życia jest tu jednakowy dla mocarza i dla szewca; wszystko to jest przedziwnie kierowane przez Rzym za pomocą wystawy teatralnej tak dobrze obmyślanej, iż nawet filozof zbity jest z tropu.“

W pierwszych swych utworach Moore był estetą czystym, potem przeszedł do naturalizmu, a w *Evelyne Innes* powrócił do kultu piękna. Ulegając czarowi estetów, przyznaje jednak całą bezpłodność tej szkoły w satyrze *Celibates*. Bohater, John Norton, przypomina Huysmansowskiego Des Esseintes'a. Celibat nie jest dlań skutkiem okoliczności, ani dewocyi, ani nawet zdradzonych namiętności, lecz wprost wygórowaniem estetycznego egoizmu: bohater chce samotnie napawać się sobą, smakować swoje „ja.“ Ucieka od namiętności gwałtownej i dlatego wulgarnej, stroni od matki, albowiem ta nie czytuje Ruskina i nie ma łączności z estetyzmem. Nie chce się poświęcić żadnej karyerze, albowiem to wymaga ciągłych wzruszeń i zabiegów. Nie bywa w salonach z powodu... mebli współczesnych, miękich, które go denerwują. Dlatego też zamyka się w Stanton College oo. jezuitów w celi, umeblowanej według wzorów, kopiowanych z Alberta Dürera.

Po trzech latach nieobecności zmuszony jest powrócić do matki na wieś, ale w towarzystwie architekta, który przerabia i urządza dom według własnych jego pomysłów. Na wsi spotyka bohaterkę z *Mere Accident*, Kitty. Nie podoba mu się ona, ale bądź co bądź wydaje mu się znośniejszą od innych kobiet, albowiem „podobną jest do obrazu“; nieszczęście tylko, iż Kitty „żyje.“ Tu jednak spotyka ją przygoda, która przerywa jej życie i bohater zadowolony, iż ma wspomnienie, opuszcza matkę, wyrzeka się ostatecznie protestantyzmu, staje się katolikiem, zachwycony ceremoniami kultu, blaskiem świateł, zapachem kadzideł, grą organów, coraz bardziej pogrąża się w kontemplacyę samotną. Niemniej bezpłodnem jest życie siostry jego duchowej, Mildred Lawson, która także oddaje się kultowi swego „ja.“ Z tą różnicą, że dochodzi ona w końcu do świadomości, iż życie jej spełzło na niczem, on zaś przekonany jest o swej wielkości.

Celibates jest satyrą na egoizm bezpłodny: autor więcej okazuje sympatyi Esterze Waters, która walczy przez lat dwadzieścia, by wychować syna na dzielnego człowieka. Ta matka podniosła się z upadku, zrehabilitowała i użyła energię swej rasy do ujarzmienia temperamentu i wyrobienia w sobie woli silnej, gdy Norton i Mildred tę energię używali do wyrażenia swego egoizmu. Wysiłki pierwszej uwieńczone zostały skutkiem pożądanym, gdy wysiłki dwojga innych spełzły na niczem. Pierwsza wytrwale walczyła z całym potokiem obłudy społecznej, by zapewnić istnienie swemu dziecku, ci zaś myśleli tylko o sobie. W *Mildred Lawson* autor wyśmiewa panie, które, pod pozorem kultury swego „ja,“ zajmują się flirtem.

Dr. L. Winiarski.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Edward Lubowski: *Światowe rozrywki*, komedya w 5 aktach. — Ludwik Fulda: *Niewolnica*, sztuka w 4 aktach.

Nie wiem doprawdy, czy wśród widzów, którzy zebrali się w teatrze Rozmaitości na pierwszem przedstawieniu najnowszej sztuki E. Lubowskiego, był choć jeden, któryby zachował naiwne złudzenia co do istotnej roli, odgrywanej w społeczeństwie naszem przez większość przedstawicieli t. zw. arystokracyi rodowej. Wiemy dobrze, że ze względu na swe upodobania, zdolności i ogólny poziom umysłowy i moralny— należą oni, z nielicznymi wyjątkami, do gatunku nader pospolitych kobuzów, usiłujących odbierać od innych ptaków honory, należne orłom lub co najmniej sokołom; że pod tym względem surowa charakterystyka zewnętrzna, która tej warstwie przeżytków społecznych dostała się niespodziewanie w „Rozrywkach światowych,“ nie maluje bynajmniej rzeczywistości w zbyt ciemnych, przesadnych barwach i że na swe usprawiedliwienie znalazłaby ona aż nadto faktów, zaczerpniętych bezpośrednio z życia. A jednak...

Sztuka mimo wszystko nie potrafiła wywołać wśród widzów żywszego zajęcia lub wzruszenia i — ściśle mówiąc — nie miała racyi bytu na scenie, bo po za powierzchowną prawdą w odtworzeniu pustki, czczości i większych lub mniejszych podłostek „wielkoświatowego“ życia, niema w niej ani cienia głębiej pojętej prawdy wewnętrznej, psychologicznej. Zamiast żywych ludzi, daje nam ona szereg szablonów i manekinów, zamiast scen, tchnących choć pewnem złudzeniem prawdy — melodramat, konwenans, odgrzewanie pomysłów dawnych, wszystko co chcecie zresztą, byle nie tę z głębi duszy wydartą istotę i treść życia, mającą zawsze moc zatargania w utworze sztuki trzewiami widza i usprawiedliwiającą najlepiej prawo do bytu dzieła samego. Co prawda, p. Lubowski wogóle nie zepsuł nas zanadto tego rodzaju dziełami, a dziś już trudno dosyć spodziewać się po nim niespodzianek, choć niewątpliwie niespodzianką pewną była bezwzględność, z jaką się obszedł tym razem z warstwą społeczną, wobec której szermierze obozu zachowawczego poczuwali się zazwyczaj do obowiązku przywdziewania czarnego fraka i rękawiczek — bawełnianych.

Czyż po tem, co powiedziano, mamy jeszcze mówić szczegółowo, że głównym bohaterem sztuki jest jeden z owego legionu hrabiów czy książąt, spędzających czas między stajnią, zielonym stolikiem a buduarem, do którego zawsze zwabić umieją zdobycz ponętną? Książę ten jednak kręci się w tak już wyszarzanem na scenie towarzystwie, że przypomnimy tylko plenipotenta oszusta, postać, powtarzającą się prawie bez zmiany od sztuk ś. p. Józefa Korzeniowskiego; pseudo-przyjaciół i wyzyskiwaczy o wymownych nazwiskach (Aportowicz, Bekasiński), jakich spotykaliśmy już nawet w dawnych sztukach samego p. Lubowskiego; księcia stryja wreszcie, nieuniknione uosobienie szlachetności rasowej we wszystkich naszych utworach scenicznych, gdzie choćby lekka nagana dostaje się przedstawicielom „krwi błękitnej“ — że wszystko to razem nie zachęca bynajmniej do zawarcia bliższej znajomości z tym światem, o który, co prawda, ocierają się i inne żywioły (rodzina Czyńskich np.), lecz zdobywają się przytem jedynie na melodramatyczne tyrady albo na postępki, nie dające się w żaden sposób wytłomaczyć zgodnie z mniej lub więcej wymowną logiką rzeczy. Jedyne żywsze postacie — Julii Delcasse i Toporzewskiego — nie wyrastają również ponad miarę szablonu scenicznego i, co najwyżej, zdolne są zatrzymać na sobie uwagę widza w sposób przelotny.

Do arcydzieł scenicznych nie należy i „Niewolnica“ Ludwika Fuldy, wystawiona już trzykrotnie na rzecz warszawskiego Towarzystwa dobroczynności przez znane grono „Miłośników sceny.“ Możnaby pragnąć, aby amatorowie ci, wśród których spotykamy stale kilka osób, obdarzonych istotnym talentem, pozostawili przeciętny repertuar mieszczański scenom innym, sami zaś zwracali się stale do owych krynic czystego piękna i prawdy, z których już parę razy czerpali z powodzeniem. Bądź co bądź jednak przyznać trzeba, że w tej sztuce Fuldy, osnutej na tle stosunków, panujących wśród kupiectwa niemieckiego i poruszającej w sposób dosyć pierwotny rzeczy nienowe, odzywają się kilkakrotnie akcenty szczerego buntu przeciw łamiącym niekiedy w kobiecie wszelką indywidualność duchową więzom małżeńskim, że drga tam i zrywa się do innego życia biedna, sponiewierana dusza ludzka i daje się odczuć wieczny rozłam między rzeczywistością a ideałem.

Sztuka ta spotkała się w Warszawie z zarzutem, że odtwarzane w niej stosunki noszą zbyt lokalno-niemiecki charakter, a w życiu naszego społeczeństwa analogii do nich odnaleźć niepodobna. Wydaje nam się, niestety, że pogląd ten wogóle nacechowany jest nadmiernym optymizmem. Forma niewoli w naszych stadłach mieszczańskich i szlacheckich jest może dla kobiety mniej brutalna, niż w Niemczech, czyż jednak da się zaprzeczyć, że ten sam objaw systematycznego zacierania w towarzystwie życia wszelkich odrębności duchowych i szlachetniejszych porywów serca i u nas zdarza się nieraz?

Sztuka Fuldy, treścią swą przypominająca nieco znaną nam dobrze „Lenę“ Jasieńczyka, odegrana została ze zwykłą u „Miłośników sceny“ starannością, przyczem najgoretsze oklaski zbierała słusznie pani Orwidowa w roli tytułowej, oraz p. Łącki, odtwarzający konwencyonalną trochę postać budowniczego Lucasa.

Wł. Bukowiński.

Wojciech Gerson.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Z Wojciechem Gersonem zszedł do grobu jeden z najstarszych przedstawicieli malarstwa polskiego, jeden ze świadków narodzin jego. Te chwile błąkań się pierwszych, pierwszych dążeń i pierwszych ideałów musiały mu nazawsze utkwić w pamięci, bo przez całe życie pozostał wierny hasłom, które słyszał w młodości. A hasła to —to koturnowość historyczna przedewszystkiem, to pogarda dla wszelkich rzeczy „nikczemnych,“ jak człowiek codzienny, życie powszednie, pejzaż żywcem z natury wykrojony, bez ozdób, bez upiększeń. Był czas, kiedy szczytem sztuki dla malarzy było malowa-

nie scen historycznych, walk i bitew, podług ścisłych, z góry określonych prawideł nietylko kompozycyi, lecz nawet koloru. Czas ten, na szczęście, dla sztuki minął, lecz dla Gersona trwał stale. Stąd jego namiętność do olbrzymich obrazów, bardzo teatralnych i bardzo nudnych. Stąd jego pewnego rodzaju pogarda dla krajobrazu, któremu poświęcił zaledwie kilka płócien, chociaż, jako pejzażysta, zdradzał zdolności niepospolite. Podziwiać należy w Gersonie tę śmiałość tworzenia wielkich kompozycyj, nie mogących liczyć na łatwy zbyt; w czasach dzisiejszych odwaga taka to *rara avis*. Prócz tego, jako malarz, miał jedną ważną zaletę: rysował dobrze. Lecz koloryt jego, zaprawiony wszędzie (mowa tu o kompozycyach historycznych) rzadym „sosem generalnym," raził pleśnią pierwszej połowy wieku ubiegłego.

W naszem życiu artystycznem brał Gerson bardzo żywy udział. Niema u nas chyba instytucyi sztuce poświęconej, do której powstania nie byłby przyłożył ręki. On bywał zwykle reżyserem występów kolonii artystycznej warszawskiej na turniejach zagranicznych. Może nie zawsze działał zręcznie i umiejętnie, zawsze jednak wykazywał wielki zasób rzutności i energii.

Przez długi szereg lat prowadził warszawską szkołę rysunkową oraz udzielał lekcyj prywatnie. Uczył rysować może zbyt po szkolarsku, lecz sumiennie. Nie mając ogromnej indywidualności Matejki, nie łamał i nie manierował swoich uczniów, to też ze szkoły jego *mogli* wyjść nawet artyści tej miary, co Chełmoński, Gierymski, Podkowiński. Sam Gerson był wychowańcem, akademikiem i profesorem (*honoris causa*) akademii petersburskiej; przez pewien czas studyował w Paryżu. Nietylko pędzel brał do ręki, imał się również pióra. Pisywał recenzye i krytyki artystyczne, przełożył na język polski traktat Leonarda da Vinci o malarstwie, prowadził przez pewien czas pismo, sztuce poświęcone, *Świat artystyczny* — itd., talentu literackiego wszakże nie posiadał. Był wytrwałym pracownikiem na niwie sztuki polskiej; to też w dziejach swych będzie ona musiała zważyć jego wady i zalety, pominąć zaś go nie będzie miała prawa. *m. m.*

POEZYE

Ada Negri.

NIEŚMIERTELNY.

Żyć! żyć!—O, nie chcę umierać— chcę lat dwa-
[dzieścia mieć wiecznie,
Chcę marzyć, szaleć, chcę kochać, bawić i śmiać
[się serdecznie,
Latać, jak motyl wśród róż,
Chcę w kwiaty, blaski, promienie ubrać tę mło-
[dość wspaniałą,
Bujną, jak trawa stepowa, jak puchy lekką i białą
Przezroczą, jak tonie mórz.

Precz, precz ode mnie, o Śmierci! Kocham pło-
[mienie i wody
I czarodziejskie to słońce, co ziemi pieści ogrody
I wieczną żyzność jej śle,
Kocham tę ziemię prastarą, istną kuźnicę tyta-
[nów,
Gdzie łomot ciągły, gdzie ogień wybucha z serc
[i wulkanów,
Gdzie myśl, ruch, praca wre.

Dla purpurowych ust moich, co czyste powietrze
[piją,
Dla krwi, co w żyłach mych krąży, dla pulsów,
[co w skroniach biją,
Dla oczu, co sypią skry;
Dla śmiechu gamy szalonej, co nutą dźwięczy
[wesołą,
I dla tej siły wewnętrznej, co kładzie na moje
[czoło
Przyszłości potężne sny;

I dla wszystkiego, co żyje pełne miłości i wiary,
Co w dniach ciemnoty wysoko światłości wzno-
[sząc sztandary,
Do ideału się rwie,
Dla tych, co tutaj na ziemi jak ogień pożaru płoną
I zwyciężeni powstają z nową zapału koroną!
Ja nieśmiertelnym być chcę!..

Do sił, do zdrowia, do czynu, do marzeń, co
[w niebo biegą,
I do umysłów spragnionych strumienia prawdy
[świętego,
Do złotych miłości dni;
Do matek karmiących dzieci, do ojców zdjętych
[trudami,
Do pysznych łanów pszenicznych, do łąk usia-
[nych kwiatami,
Do miast, do lasów, do wsi;

Do lotu, ruchu, do dźwięku, do walki duchów
[wspaniałej,
Do ofiar cichych, nieznanych, błędów—co dobro
[nieść chciały,
Do serc, do zmysłów, do dusz:
Do wszystkich wznoszę rozgłośnie hymn wielki,
[hymn nieskończony.
Hymn jako morze szeroki, wieczny, jak niebios
[opony,
Płomienny, jak łuny zórz!..

Cierpieć?—Cierpienie i życie, to wir, co wiecznie
[się zmienia:
Rozkosz jest straszna a wzniosła wpaść do ot-
[chłani istnienia,
Na ludzkiej nędzy iść dno:
Słuchać, jak z głębi przepaści rozpacz zawodzi
[tłumiona,
Goryczą żółci się poić, pod krzyżem zginać ra-
[miona,
Nigdy nie żaląc się łzą:

Nagle, w powodzi krzywd tonąc, czepić się choć-
[by źdźbła trawy,
W ciemności dostrzedz i schwycić nadziei pro-
[myk złotawy,
Co jako zbawienie spadł,
Poczuć, że serce znów bije, że znów pragnienia
[ożyły,
Z nową się wiarą odrodzić do walk, do zdrowia,
[do siły,
Królem wyjść z grobu na świat!..

Dla tych, co słabi i gnuśni, Tajget otworem
[wciąż stoi
I czeka zimna toń Lety tego, co życia się boi,
Życia zawodów i prób...
Biada tchórzowi, co zawsze z drogi się wrócić
[jest skory,
Biada tym, co się błąkają niby bezduszne upiory
I z ziemi czynić chcą grób.

Wzlatuję. — Skrzydły silnemi ciągnę za sobą
[miliony...
Tłum dobrych, mężnych i dumnych, przyszłości
[snom poświęcony,
Błogosławieństwo mi śle,
Nieśmiertelności świat błyska, a dusza moja
[szczęśliwa
Hejnał zwycięzki rozgłośnie na wszystkich stru-
[nach wygrywa
Temu, co wiecznie żyć chce!

Tłom. *Anna Bronisławska.*

NA MARGINESIE.

Na fali „prawdziwej cywilizacyi." Działo się w Transwaalu wzdłuż plantu kolei żelaznej pomiędzy Heidelbergiem i Standertonem. Na kilka dni przed 15 października 1900 r. dróżnicy zauważyli, że pociągi kursować nie mogą, w kilku miejscach bowiem szyny były powyrywane, podkłady rozrzucone, nasypy podminowane. Winowajców nie znaleziono.

Ale że w owym czasie w tej miejscowości śpiewano już „God save the Queen"—tedy winnym oczywiście okazał się „Bur," nie indywidualnie, bo takiego znaleźć nie było można, ale typowo, abstrakcyjnie. Kolej żelazna jest wykwitem wysokiej cywilizacyi, a że owej wysokiej i doskonałej kultury rzecznikiem jest John Bull, że gwoli obrony zdobyczy cywilizacyjnych przedsięwziął swój misyjny spacer na złote pola Transwaalu— tedy nie wolno bezkarnie, płazem puszczać tak strasznego względem ludzkości przewinienia. I oto w nocy z 15 na 16 października wzdłuż plantu kolejowego zapaliła się łuna. Była to ekspiacya boerska. To zaprzańcy cywilizacyi w powszechnem całopaleniu piętnastu osad, piętnastu wielkich rodzin — błagali o przebaczenie i miłosierdzie bogów postępu! Oto jak opisuje procedurę tej ofiary świadek wiarogodny: „Na środku izby na stole układa się pościel, polewa naftą i podpala. Oczywiście, że Anglicy są tak ludzcy, iż jednocześnie wypędzają z zagrody inwentarz, który zagarniają w drodze konfiskaty, i mieszkańców, tj. kobiety i dzieci. Krzyki rozpaczy, wołania błagalne bezbronnych kobiet, wybuchy graniczącego z obłędem bólu — to wszystko budzi w sercach żołdactwa angielskiego nie współczucie, jeno śmiech. Śmieją się wszyscy: żołnierze i oficerowie. Są i między nimi tacy, których ta obyczajowość grozą przejmuje rzetelną, i ci jednak od spełnienia obowiązku uchylić się nie mogą. Zdarzył się między innymi charakterystyczny epizod. Oto przed skazaną na zagładę fermą stał generał Rundle. Żona Boera prosiła, aby pozwolono jej zabrać z domu kilka cennych dla niej rzeczy. Generał zezwolił. Gdy kilka razy wracała, sprzykrzyło się generałowi miłosierdzie i kazał ją oddalić. Kobieta błagała. Bezskutecznie. „Raz jeszcze jedyny"—naprożno. Wściekła z rozpaczy rzuciła się ku pogromcy i uderzyła go dwukrotnie po twarzy. Generał oniemiał. Wnet wrócił do przytomności i kazał powrzucać z powrotem w ogień przed chwilą za jego pozwoleniem wyratowane od zniszczenia rzeczy..."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W Charkowie odbyło się niedawno poświęcenie nowego gmachu biblioteki publicznej, założonej dzięki inicyatywie prywatnej miejscowej inteligencyi. W tym celu zawiązało się specyalne Towarzystwo, które zajęło się gromadzeniem funduszów. W r. 1886 nastąpiło otwarcie zaczątkowego księgozbioru, składającego się zaledwie z 1,500 tomów, majątek Tow. wynosił wówczas 1,303 rb. Obecnie Tow. posiada już dom na bibliotekę, który kosztował 150,000 rb., i księgozbiór liczący 90,000 tomów.

— W uniwersytecie petersb. powstaje w r. b. instytut fizyczny. Min. oświaty wyznacza na koszta urządzenia jednorazowo 30,000 rb., i na utrzymanie 22,000 rb. (*Nowosti*).

— Podług ogłoszonego przez Główny zarząd dochodów niestałych „zbioru wiadomości o wynikach i głównych operacyach monopolu wódczanego za 1899 r., w 35 gub. Cesarstwa i Królestwa monopol sprzedał w r. 1899 — 33,981,114 wiader wódki (o 9,22% więcej, niż w r. 1898). Na osobę wypito 0,55 wiadra. W roku sprawozdawczym dał monopol czystego zysku (z akcyzą) 173,289,168 rb. (o 16,529,054 r. więcej, niż w r. 1898). Dzięki monopolowi czysty dochód skarbu podniósł się o 42,844,570 rb.

— W Wilnie, dzięki inicyatywie prywatnej, ma powstać muzeum miejskie, które mieścić się będzie w murach b. klasztoru Franciszkanów i zostawać będzie pod zarządem i kierunkiem magistratu.

— Minist. spr. wewn. zatwierdziło ustawę Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń od gradu dla guberaij Królestwa p. n. „Ceres."

— Przed dwoma laty zainaugurowano w Berlinie wystawę sztuki dla ludu w gmachu ratusza. Obecnie znowu inicyatorzy tej znakomitej powszechnie

naśladowania godnej myśli, malarze Feld i słynny Lelstikow, krzątają się około powtórzenia wystawy.

— Znany „pastor polityczny," Naumann, objeżdża obecnie Niemcy, wygłaszając mowy przeciwko agitacyi za powiększeniem ceł na zboże, a więc i zdrożeniem środków utrzymania. Przytaczamy ustęp z mowy, wygłoszonej we Freiburgu badeńskim: „Niemiec przeszłości—to włościanin. Niemiec przyszłości — to najemnik. Z tego, co on wydaje, żyje wielka część ludzi: to jest główny odbiorca społeczny. Dlatego też pierwszorzędny interes państwa wymaga, aby płaca robotnicza wzrastała coraz bardziej i umożliwiała robotnikowi ponoszenie coraz większych wydatków na kształcenie siebie i dzieci. Dlatego też należy odrzucić wszelkie cła; one utrudniają mu życie; co one pożerają, to odjąć musi dzieciom. A' po za tem cena zboża i przestępstwa kradzieży płyną na jednej fali — im życie staje się trudniejszem, tem więcej bywa przestępstw."

Szkoły. Doroczny akt uroczysty w uniw. petersburskim, obchodzony w d. 21 lutego, na mocy uchwały rady uniwersyteckiej, w tym roku się nie odbył.

— W r. b. uniwersytet warszawski liczy 1,169 studentów, z których 753 katol. (61%), 218 prawosł. (20%), 168 żydów (15%), 47 ewang. (4%) i 1 mahometanin. 914 stud. pochodzi z Król. Polskiego. Na wydział prawny uczęszcza 512 stud., na lekarski 367, na przyrodniczy 240, na filologiczny 50.

Sądy. Ważny dla wszystkich cierpiących na nieuleczalne bóle kwestyi mieszkaniowej wyrok zapadł w Warszawie. W pewnym domu przy ul. Marszałkowskiej lokator znalazł najęte mieszkanie w zupełnym nieporządku i pomimo obietnic właściciela nie mógł doczekać się naprawy. Sufity pękały, tynk oblatywał. Ostatecznie fakty te protokólarnie zapisane zostały przez policyę i lokator wyniósł się, nie zapłaciwszy właścicielowi komornego. Pozwanego o uiszczenie komornego za kwartał z tytułu samowolnie zerwanej umowy sąd w dwu instancyach od odpowiedzialności uwolnił: „Kodeks cywilny obowiązuje odnajmującego mieszkanie, aby najmującemu zabezpieczył spokojne korzystanie z najętego mieszkania przez cały czas trwania umowy; w razie potrzeby gospodarz obowiązany jest uskutecznić wszelkie naprawy w mieszkaniu lokatora pod nieważnością umowy."

Hygiena publiczna. Doroczne zgromadzenie niemieckiego komitetu centralnego budowy sanatoryów dla suchotników odbędzie się d. 23 marca w Berlinie. Wykłady zapowiedzieli: prof. Frankel: Sanatorya i przytułki dla tuberkulicznych, landrat Heldweiller: Kwestya mieszkaniowa a suchoty; Rumpf: Dobór chorych tuberkulicznych dla sanatoryów. Bliższych informacyj udziela biuro komitetu (Geschaftsstelle des Central Comitets fur Lungenheilstatten) w Berlinie, Wilhelmplatz 2.

Zmarli. Armand Silvestre, poeta i nowelista francuski, w Tuluzie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pani Ber. Mest. w Przemyślu. Nadesłanego artykułu zużytkować nie możemy. Rękopis do zwrotu.

Pani W. Ossowskiej w Libawie. „Zarys" wyszedł w IV wydaniu i jest do nabycia w Adm. *Prawdy* (3 rb.).

Na Kolonie Letnie. Dwudziesty rok z rzędu wypada nam odwoływać się do ofiarności publicznej w celu zapewnienia dzieciom najuboższej ludności Warszawy w ciągu lata r. b. dobrodziejstw świeżego powietrza i zdrowego posiłku. Zwiększając corocznie liczbę dzieci, wysyłanych na wieś staraniem Kolonij Letnich, w roku ubiegłym dosięgnęliśmy pokaźnej cyfry 2970; w stosunku do liczby ludności i warunków jej bytu jest to zaledwie część, która nie czyni zadość potrzebie.

Towarzystwo nasze z całą wiarą odwołuje się do społeczeństwa, wiedząc dobrze, jak chętnie spieszy ono zawsze z pomocą potrzebującym.

Kolonie letnie dotychczas istniały i rozwijały się kosztem zbieranych ofiar i w tym roku przystępujemy do roboty z niezłomną nadzieją, że oczekiwania ubogich rodziców, niemogących własnymi środkami ratować swych dzieci, zawiedzione nie będą, a liczba wysłanych na wieś przewyższy dotychczasową.

Ofiary składać prosimy w biurze Towarzystwa Kolonij Letnich (Hortensya, nr. 1), oraz w redakcyach pism.

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Февраля 1901 г. Druk K. Kowalewskiego Warszawa, Mazowiecka 8.